

HENRYK SIENKIEWICZ
TA TRZECIA



Henryk Sienkiewicz

Ta trzecia



Fundacja FESTINA LENTE

ROZDZIAŁ I

Pracownia, w której mieszkaliśmy i malowaliśmy ze Świateckim, była niezapłacona, raz dlatego, że w dwóch mieliśmy coś około pięciu rubli, a po wtóre, że czuliśmy zupełnie szczerą wstręt do płacenia komornego.

Nazywają nas malarzy rozrzutnikami, a ja pierwszy wolę przepić pieniądze niż marnować je na zapłacenie gospodarzowi.

Co do naszego gospodarza, nie był to zły człowiek, a przy tym znaleźliśmy na niego radę.

Kiedy, zwykle rano, przychodził się upominać, Światecki, który sypiał na sienniku na ziemi, a nakrywał się turecką firanką używaną przez nas jako tło do portretów, podnosił się do połowy i mówił grobowym głosem:

–Dobrze, że pana widzę, bo śniło mi się, żeś pan umarł.

Gospodarz, który był przesądny i widocznie bał się śmierci, mieszał się zaraz nadzwyczajnie, Światecki zaś rzucał się zaraz na siennik, wyciągał nogi, składał ręce na piersiach i mówił dalej:

– Takem pana widział jak teraz: miałeś pan białe rękawiczki z za długimi palcami i lakierki; zresztą nie byłeś pan bardzo zmieniony.

Wówczas ja dodawałem z kolei:

– Czasem się takie sny nie sprawdzają.

Zdaje się, że to „czasem” doprowadzało gospodarza do depresji. Kończyło się na tym, że wpadał w gniew, trzaskał drzwiami i słyszeliśmy, jak schodził po cztery schody od razu, klnąc na czym świat stoi. Pocziwa dusza nie chciała jednak przysłać nam komornika.

Co prawda, to nie bardzo było co zabierać; zapewne obliczał sobie gospodarz, że do tej pracowni i przyległej do niej kuchenki sprowadzą się inni malarze i będzie to samo albo gorzej.

Jednak ostrze tego naszego sposobu stępiało z czasem. Gospodarz oswoił się z myślą o śmierci. Światecki właśnie zamierzał wykonać trzy obrazy w rodzaju Würtza, pod tytułami: *Zgon*, *Pogrzeb* i *Przebudzenie się z letargu*. Naturalnie we wszystkich miał figurować nasz kamienicznik.

Takie grobowe rzeczy stanowią specjalność Świateckiego, który, według własnego wyrażenia, maluje: „truposze”, „trupielce” i „trupięta”. Pewnie dlatego nikt nie chce kupować jego obrazów, bo zresztą ma talent. Posłał właśnie do Salonu Paryskiego dwa „truposze”, a że i ja posłałem moich *Żydów nad Wisłą*, których w katalogu Salonu ochrzczono *Żydami nad rzekami Babilonu*, więc czekaliśmy z niecierpliwością na wyrok jury.

Naturalnie Światecki przewidywał, że wszystko będzie jak najgorzej, że jury składa się z ostatnich idiotów, a choćby się nie składało z idiotów, to ja jestem idiotą, nasze obrazy są idiotyczne, a nagrodzenie ich byłoby szczytem idiotyzmu!

Ile ta mała mi krwi napsuła przez dwa lata, w czasie których mieszkaliśmy razem, tego nie potrafię opisać.

Świateckiego cała ambicja polega na tym, żeby uchodzić za moralnego „truposza”. Pozuje między innymi na pijaka, którym nie jest. Wlewa w siebie dwa albo trzy kieliszki wódki i patrzy, czy to widzimy, a gdy nie jest pewien, trąca któregoś z nas łokciem i spoglądając spode łba, pyta podziemnym głosem:

– Prawda, jak ja już nisko upadłem... co?...
prawda?...

Odpowiadamy mu na to, że jest głupi. Wówczas wpada we wściekłość i niczym nie można wprowadzić go w gorszy humor jak okazaniem niewiary w jego moralny upadek. Przy tym pocziwe chłopisko z kośćcami.

Raz zabłądziliśmy w górach w Salzkammergut, koło Zell am See.

Ponieważ zapadła noc i łatwo było kark skrócić, więc Światecki powiada do mnie:

– Słuchaj, Władek, ty masz większy talent, więc ciębie większa szkoda. Ja pójdę naprzód... Jak zlecę, ty posiedzisz na miejscu do rana, a rano już sobie dasz jakoś radę.

– Nie pójdziesz naprzód – odpowiadam – tylko ja pójde naprzód, bo mam lepsze oczy.

Na to Światecki:

– Jak karku dziś nie skrećę, to i tak skończę w kanale... wszystko mi jedno.

Zaczynamy się sprzeczać.

Tymczasem robi się ciemno jak w piwnicy. Koniec końców umawiamy się, że pójdziemy na losy. Idziemy.

Światecki wyciąga węzełek i rusza naprzód.

Posuwamy się przełęczą. Z początku jest dość szeroko. O ile możemy wymiarkować w prawo i w lewo są przepaście, pewnie bezdenne.

Grzbiet staje się jeszcze węższy, a co więcej, okruchy zwietrzałych skał usuwają nam się spod nóg...

– Idę na czworakach, bo nie można inaczej! – mówi Światecki.

Rzeczywiście nie można było inaczej, więc opuszczamy się na czworaki i idziemy dalej jak dwa szympansy.

Ale wkrótce pokazuje się, że i to na nic. Grzbiet skalny robi się nie szerszy od końskiego. Światecki siada oklep, ja za nim i opierając się rękoma przed sobą, posuwamy się naprzód z nadzwyczajną szkodą naszych szat.

Po jakimś czasie słyszę głos Świateckiego:

– Władek!

– Co takiego?

– Grzbiet się skończył.

– A co dalej?

– Pusto... musi być przepaść.

– Weźże jaki kamień i ciśnij... posłuchamy, czy długo leci.

W ciemności słyszę, jak Światecki maca rękoma, by wynaleźć jaki okruch zwietrzałej skały, a następnie mówi:

– Ciskam... słuchaj!

Nadstawiamy obaj uszu...

Cisza!

– Nie słyszałeś nic?

– Nie!

– Ładnieśmy się wybrali! Musi być ze sto sążni.

– Ciśnij jeszcze raz.

Światecki wynajduje większy okruch, ciska.

Ani odgłosu.

– Cóż tam dna nie ma czy co! – mówi Światecki.

– Trudna rada! Będziemy siedzieli do rana.

I siedzimy. Światecki puszcza jeszcze parę kamieni; wszystko na próżno. Upływa godzina, druga, wreszcie słyszę głos Świateckiego:

– Władek, a nie zdrzemnij się... nie masz papierosa?

Pokazuje się, że papierosy mam, ale zapalki wyszły nam obydwom. Rozpacz! Godzina może być pierwsza w nocy albo nawet i nie tyle.

Zaczyna popadywać drobniuchny deszcz. Naokoło ciemność nieprzebita. Dochodzę do przekonania, że żyjąc między ludźmi czy w miastach, czy na wsi, nie mamy pojęcia, co to jest cisza. Ta, która nas otacza, aż w uszach dzwoni.

Słyszę niemal, jak krew krąży mi w żyłach, a bicie własnego serca słyszę doskonale.

Z początku położenie zajmuje mnie.

Siedzieć wśród głuchej ciszy na skalistym grzbiecie jak na koniu i tuż nad niezgłębioną przepaścią, to się przecie byle stołecznemu łykowi nie trafi; ale wkrótce robi się zimno, a na dobitkę Światecki zaczyna filozofować:

– Cóż to jest życie? Życie jest to po prostu świństwo. Powiadają: sztuka! sztuka! Niech mnie razem ze sztuką... Czyste małpiarstwo natury, a w dodatku podłość... Dwa razy widziałem przecie Salon. Nasłali tyle obrazów, że można by z tego płótna porobić sienniki dla wszystkich Żydów w świecie, a cóż to było? Najpodlejsze schlebianie gustom sklepikarzy, jakie tylko być może, obrachowane na handel czy na napychanie brzuchów. Nierząd sztuki, nic więcej! Żeby tam sztuka była, toby ją paraliż trzasnął, na szczęście prawdziwej sztuki nie ma na świecie... jest tylko natura. Być może, że natura to także świństwo... Najlepiej byłoby skoczyć tam ot... i raz skończyć. Zrobiłbym to, gdybym miał wódkę, ale że nie mam wódki, więc tego nie zrobię, bom sobie przysiągł, że trzeźwy nie skończę.

Byłem przyzwyczajony do gadaniny Świateckiego, jednak wśród tej ciszy i zablakania, w chłodzie, w ciemności, nad przepaścią, słowa jego nastroiły i mnie ponuro. Na szczęście wygadał się i ustał. Rzucił jeszcze parę kamieni, powtórzył jeszcze parę razy: „Ani słuchu!” – i odtąd milczeliśmy ze trzy godziny.

Zdawało mi się, że nie za długo powinien się być zacząć brzask, gdy nagle usłyszeliśmy nad głowami krakanie i szum skrzydeł.

Było jeszcze ciemno i nie mogłem nic dojrzeć, ale byłem pewien, że to orły poczynają krążyć nad przepaścią; „kra! kra!” rozlegało się coraz silniej w górze i w ciemności. Dziwiło mnie, że słyszeć tak dużo tych głosów, jakby przelatywały całe legiony orłów. Ale bądź co bądź zwiastowały one dzień.

Jakoż po jakimś czasie dojrzałem swoje ręce oparte o brzeg skalisty, potem zarysowały się przede mną plecy Świateckiego, zupełnie jak czarna sylwetka na cokolwiek mniej czarnym tle. Tło owo bladło z każdą chwilą. Następnie pyszny, bładosrebrny ton począł przeświecać na skale, na plecach Świateckiego i nasycał coraz bardziej ciemność, zupełnie jakby kto dolewał do niej srebrnego pyłu, który wsiąkał w nią, mieszał się z nią, czynił ją z czarnej szarą, z szarej perłową. Była w tym jednocześnie jakaś surowość i wilgoć; nie tylko skała, ale i powietrze wydawało się mokre.

Co chwila robi się świetliciej.

Patrzę, staram się zapamiętać te zmiany tonu i po trosze w duszy maluję, gdy nagle przerywa mi okrzyk Świateckiego:

– Tfu! idioci!

I plecy jego giną mi z oczu.

– Światecki! – krzyczę – Co robisz!

– Nie wrzeszcz! Patrz!

Przechylałam się, spoglądałam – cóż się pokazuje? Oto siedzę na skalistym zrębie, zapuszczającym się w łąkę, która leży może o półtora łokcia poniżej. Mchy głużyły odgłos kamieni, bo zresztą łąka jest równiutka; w dali widać drogę, na niej wrony, które poczytałem za orły. Potrzebowaliśmy tylko nogi spuścić ze zrębu, żeby pójść najspokojniej do domu.

Tymczasem przesiedzieliśmy na zrębie, szczękając zębami, całą bożą noc.

Nie wiem dlaczego teraz oto, gdyśmy w pracowni oczekiwali ze Świateckim nadejścia gospodarza, ta przygoda, od której upłynęło już z półtora roku, przypomniała mi się tak, jakby to było wczoraj.

Wspomnienie owo dodało mi na razie dziwnej otuchy, więc mówię zaraz do Świateckiego:

–Pamiętasz, Antek, jak to myśleliśmy, że siedzimy nad przepaścią, a okazało się, że przed nami równa droga? Tak może być i teraz. Oto jesteśmy biedni jak szczury kościelne, gospodarz chce nas wylać z pracowni, tymczasem może się wszystko zmienić. Nuż otworzy się jakaś szluzka ze sławą i monetą?...

Światecki siedział właśnie na sienniku i naciągał but, mrużąc przy tym, że życie składa się z naciągania butów rano, a ściągania ich wieczorem, i że ten tylko ma rozum, kto ma odwagę się powiesić, czego jeśli on, Światecki, dotąd nie zrobił, to wyłącznie dlatego, że nie tylko jest ostatnim głupcem, ale w dodatku podłym tchórzem.

Wybuch mego optymizmu przerwał mu rozmyślania, więc podniósł na mnie swe rybie oczy i powiada:

– Ty zwłaszcza masz się z czego cieszyć; onegdaj Susłowski wylał cię z domu i z serca córki, a dziś gospodarz wyleje cię z pracowni.

Niestety! Świątecki mówił prawdę. Trzy dni temu jeszcze byłem narzeczonym Kazi Susłowskiej, tymczasem we wtorek z rana... tak! we wtorek! odebrałem od jej ojca list następujący:

„Kochany panie!

Córka nasza, ulegając perswazji rodziców, zgadza się na zerwanie związku, który dla niej byłby nieszczęściem. Mogłaby ona zawsze znaleźć schronienie na łonie matki i pod dachem ojca, lecz właśnie do nas rodziców należało zapobiec tej ostateczności. Nie tyle pańskie położenie materialne, ile pański lekkomyślny charakter, którego mimo wszelkich starań ukryć nie mogłeś, skłaniają nas i naszą córkę do zwrócenia mu słowa i zerwania z nim dalszych stosunków, co zresztą nie zmieni naszej dla pana życzliwości.

Z poważaniem
Heliodor Susłowski,
b. naczelnik w b. komisji skarbu K. P.”.

Tak brzmiał list...

Że z mojej pozycji materialnej można by dla psa buty uszyć, na to się mniej więcej zgadzam, ale czego ten patetyczny goryl chciał od mego charakteru, tego doprawdy nie rozumiem.

Głowa Kazi przypomina typy z czasów Dyrektoriatu i pysznie by jej było, gdyby chciała się czesać nie według dzisiejszej, ale według ówczesnej mody. Próbowałem nawet o to prosić, zresztą na próżno, bo ona tych rzeczy nie rozumie. Natomiast koloryt twarzy ma tak ciepły, jakby ją Fortuni malował.

Za to samo kochałem ją szczerze i pierwszego dnia po odebraniu listu Susłowskiego chodziłem jak struty. Dopiero drugiego dnia, i to wieczorem, trochę mi ulżyło, bom sobie powiedział: nie, to nie! Najwięcej mi pomogło do zniesienia ciosu to, że miałem głowę zajętą Salonem i mymi Żydami. Byłem przekonany, że to jest porządny obraz, chociaż Światecki prorokował, że go nawet z przedsionka Salonu wyleją.

Zacząłem go malować jeszcze przed rokiem.

Było tak:

Idę sobie wieczorem nad Wisłą, patrzę: rozbił się galar z jabłkami. Andrusy wyławiają jabłka z wody, a nad brzegami siedzi cała rodzina żydowska w takiej rozpaczce, że nawet nie lamentują, tylko pozałamywali ręce i patrzą na wodę jak posągi. Jeden stary Żyd, patriarcha- nędzarz, stara Żydówka, młody Żyd, kolosalna bestia jak Machabeusz, młoda dziewczyna, piegowata trochę, ale z ogromnym charakterem w rysunku nosa i ust, wreszcie dwoje Żydziąt. Wieczór zapada; rzeka ma miedziane refleksy – po prostu cudne.

Drzewa na Saskiej Kępie całe w zorzy, dalej na Kępie szeroko rozlana woda, tony czerwone, tony ultramaryny, tony prawie stalowe, to znów przechodzące w purpurę i fiolet. Perspektywa powietrzna – rozkosz! przejście od jednych tonów do drugich takie niepochwytne a cudne, że aż dusza piszczy – naokół cicho, świetlisto, spokojnie. Melancholia nad wszystkim, że się chce wyć – i ta grupa w smutku, siedząca tak, jakby wszyscy od małego pozowali w pracowniach...

Od razu mi w głowie zaświtało: oto mój obraz!

Miałem ze sobą szkatułkę i farby, bo bez tego nie chodzę, i od razu zacząłem szkicować, a przedtem jeszcze powiadam do Żydów:

– Siedźcie tak, ani się ruszcie! Rubla każdemu nim się zmroczy.

Moje Żydy w lot zrozumieli, o co chodzi, i jak w ziemię wrośli. Szkicują, szkicuję! Andrusy powyłazili z wody i wkrótce słyszę za sobą:

–Maliarz! Maliarz, co ukradł, to pada, że znalazł!

Ale odezwałem się do nich ich językiem i od razum ich sobie pozyskał; przestali nawet ciskać wiórami na Żydów, żeby mi nie psuć roboty.

Za to moja grupa wpadła niespodzianie w dobry humor.

– Żydy! – krzyczę – Smućcie się!

A starka odpowiada:

–Z przeproszeniem pana malarza, czego się mamy smucić, kiedy pan obiecał nam po rublu? Niech się ten smuci, co zarobek nie ma!

Musiałem im zagrozić, że nie zapłacę.

Szkicowałem jednak przez dwa wieczory, potem pozwali mi parę miesięcy w pracowni. Niech Światecki mówi co chce, obraz jest dobry, bo zupełnie nie zimny; jest w nim szczerą prawdą i ogromnie dużo natury. Zostawiłem nawet piegi młodej Żydówki. Twarze mogłyby być piękniejsze, ale nie mogą być prawdziwsze i mieć więcej charakteru.

Takem o tym obrazie myślał, że łatwiej przeniósł stratę Kazi. Toteż, gdy mi ją Światecki przypomniał, zdawało mi się, że to już ogromnie dawno było. Tymczasem Światecki naciągał drugi but, a ja zacząłem nastawiać samowar.

Przyszła stara Antoniowa z bułkami, którą Światecki na próżno od roku namawia, żeby się powiesiła – i zasiedliśmy do herbaty.

– Z czegoś ty dziś taki rad? – pyta mnie opryskliwie Światecki.

– Bo ja wiem! Obaczysz, że nas spotka coś nadzwyczajnego.

W tej chwili słyszymy trzeszczenie schodów prowadzących do pracowni.

– Gospodarz! Masz twoją nadzwyczajność! – mówi Światecki.

To rzekłszy, dopija herbatę tak gorącą, że aż mu łzy w oczach stają, zrywa się, a ponieważ kuchienka nasza jest przechodnia, więc chowa się w pracowni za kostiumy i woła ze swej kryjówki zdyszczanym głosem:

– Mój ty! On cię ogromnie lubi, rozmów się z nim!...

– On przepada za tobą! – odpowiadam, lecąc do kostiumów – Rozmów się ty!

Wtem drzwi się otwierają i wchodzi – kto? – Nie gospodarz, ale stróż tego domu, w którym mieszkają Susłowscy.

Wypadamy z za kostiumów.

– List dla pana przyniosłem – mówi stróż.

Biorę list... Na Hermesa! Od Kazi! Rozrywam kopertę i czytam, co następuje:

„Mam pewność, że rodzice nam przebaczą. Przyjdź pan natychmiast, bez względu na wczesną godzinę. Dopiero co wróciliśmy z wód, z ogrodu. K.”

Nie mam wprawdzie pewności, co mianowicie rodzice mają mi przebaczać, ale nie mam też i czasu myśleć o tym, bo tracę głowę ze zdziwienia...

Dopiero po chwili podaję list Świateckiemu i powiadam do stróża:

– Przyjacielu! Powiedz panience, że natychmiast przychodzę... Czekaj... Nie mam drobnych, ale masz tu trzy ruble [ostatnie!], zmień, weź sobie rubla, a mnie odnieś resztę.

Mówiąc nawiasem, potwór wzięwszy trzy ruble, nie pokazał się więcej. Wiedział wyrodek, że nie zrobię awantury w domu Susłowskich i wyzyskał położenie najbezpieczniej. Ale wówczas nie zauważyłem tego nawet.

– No cóż? – pytam Świateckiego.

– Nic! Każde ciele znajdzie rzeźnika.

Pośpiech, z którym się ubierałem, nie pozwolił mi znaleźć odpowiedniej i stosownej dla Świateckiego obelgi.

ROZDZIAŁ II

W kwadrans później dzwonię do Susłowskich.

Otwiera mi sama Kazia. Jest śliczna... Ma w sobie jeszcze ciepło snu i świeżość poranku, którą przyniosła z ogrodu w fałdach swej perkalowej sukni koloru bladoniebieskiego. Kapelusz, który zdjęła, rozrzucił trochę jej włosy. Twarz jej śmieje się, oczy śmieją się, wilgotne usta śmieją się... Istny poranek. Chwytam ją za rękę i poczynam całować aż do łokci, ona zaś pochyla mi się do ucha i pyta:

– A kto lepiej kocha?

Następnie prowadzi mnie za rękę przed oblicze rodziców. Stary Susłowski ma minę Rzymianina, ofiarującego na śmierć *pro patria* jedyne dziecko; matka roni łzy w kawę, bo oboje siedzą przy kawie. Ale wstają na nasz widok i papa Susłowski przemawia:

– Rozum i obowiązek kazały mi powiedzieć: nie! – ale serce rodzicielskie ma swoje prawa – jeśli to jest słabość, niech mnie za nią Bóg sądzi.

Tu podnosi oczy na dowód, że gotów jest odpowiadać w razie, jeśli trybunał niebieski rozpocznie natychmiast spisywanie protokołu. Nie widziałem w życiu nic bardziej rzymskiego prócz salami i makaronu sprzedawanego na Corso. Chwila jest tak uroczysta, że hipopotam pękłby ze wzruszenia. Uroczystość jej podnosi jeszcze pani Susłowska, rozkładając ręce i mówiąc łzawym głosem:

– Moje dzieci! Jeśli wam kiedykolwiek będzie źle na świecie, schrońcie się tu – tu!

To mówiąc ukazuje na łono.

Nie ma głupich! Nie mnie brać na schronienie się tam, tam!... Gdyby tak Kazia ofiarowała mi tam przytułek, to co innego. Z tym wszystkim jestem zdziwiony poczciwością Susłowskich i serce mam przepełnione wdzięcznością.

Ze wzruszenia wypijam tyle szklanek kawy, że aż Susłowski zaczyna rzucać niespokojne spojrzenia na maszynkę i śmietankę. Kazia dolewa mi ciągle, ja staram się w tym czasie przycisnąć jej nóżkę pod obrusem. Ale ona cofa ją ciągle, trzęsąc przy tym nieznacznie głową i uśmiechając się tak szelmowsko, że nie wiem, jakim sposobem nie wyskoczyłem ze skóry.

Siedzę z półtorej godziny, ale na koniec muszę pyrgać, bo w pracowni czeka na mnie Bobuś, który bierze ode mnie lekcje rysunku i zostawia mi za każdym razem bilet z herbową pieczętką; zresztą najczęściej gubię te bilety. Kazia i matka odprowadzają mnie do przedpokoju, o co zły jestem, bo chciałem, żeby Kazia odprowadzała mnie sama. Jakie ona ma usta!...

Droga wypada mi przez ogród. Pełno ludzi wraca jeszcze z wód... po drodze uważam, że wszyscy zatrzymują się na mój widok. Słyszę naokoło szepty: „Magórski! Magórski! To on...” Panny, poubierane w perkale wszystkich odcieni, pod którymi cudownie rysują się ich kształty, rzucają mi takie spojrzenia, jakby chciały mówić: „Wejdz! Przybytek gotów!”. Co u

diabła, czy ja jestem taki sławny, czy co! – nic nie rozumiem.

Idę dalej – ciągle to samo... W sieni przy schodach wpadam na gospodarza jak statek na skałę. Oj! Komorne!

Tymczasem gospodarz zbliża się i mówi:

– Mój panie! Choć ja się tam czasem naprzykrzam, ale wierzaj mi pan, że dla pana mam tyle... ot, pozwól pan po prostu!

To rzekłszy, łapie mnie za szyję i ściska. Ha, rozumiem. Musiał mu Światecki powiedzieć, że się żenię, a on myśli, że odtąd będę regularnie płacił komorne. Niech myśli...

Grzmie na górę. Po drodze słyszę już gwar u nas. Wpadam. W pracowni ciemno od dymu. Jest Julek Rzyśński, Wach Poterkiewicz, Franek Cepkowski, stary Słudecki, Karmiński, Wojtek Michalak, wszyscy zabawiają się puszczaniem eleganckiego Bobusia w pocztę, ale ujrzawszy mnie, puszczają go ledwie żywego na środku pracowni, natomiast zaś podnoszą nieludzki wrzask:

– Winszujemy! Winszujemy! Winszujemy!...

– W górę go!

W jednej chwili jestem porwany na ręce i przez czas jakiś podrzucają mnie, wrzeszcząc przy tym w sposób godny stada wyjców; na koniec znajduję się na ziemi, dziękuję im jak mogę i zapowiadam, że wszyscy muszą być na moim weselu, głównie zaś Światecki, którego z góry zamawiam sobie na drużbę...

Tymczasem Światecki podnosi ręce i mówi:

– Ten mydłek myśli, że mu małżeństwa
winszujemy.

– A czegoż mi winszujecie?

– Jak to? Nic nie wiesz? – pytają wszystkie głosy.

– Nic nie wiem, czego u kaduka chcecie?

–Dajcie mu „Latawca”! Poranny numer „Latawca”!

– krzyczy Wach Poterkiewicz.

Dają mi więc poranny numer „Latawca”, wołając
jeden przez drugiego: „Patrz w depeszach!”.

Patrzę w depeszach i czytam, co następuje:

„Telegram własny «Latawca». Obraz Magórskiego
Żydzi nad rzekami Babilonu otrzymał wielki złoty
medal w tegorocznym Salonie. Krytyka nie znajduje
dość słów dla geniuszu mistrza. Albert Wolff nazwał
obraz rewelacją. Baron Hirsz ofiaruje 15 000 franków”.

Słabo mi! Ratujcie! Głupieję do tego stopnia, że nie
umiem słowa przemówić. Wiedziałem, że obraz mi się
udał, ale o takim powodzeniu anim marzyłem...

Numer „Latawca” wypada mi z ręki.

Podnoszą go i czytają mi jeszcze w wiadomościach
bieżących następne komentarze do depeszy:

Wiadomość I-sza. Dowiadujemy się z własnych
słów mistrza, że obraz swój zamierza wystawić w
naszym Syrenim Grodzie.

Wiadomość II-ga. Na zapytanie wiceprezesa
komitetu T. Z. Sz. P. wystosowane do naszego mistrza,
czy zamierza arcydzieło swe wystawić w Warszawie,
mistrz odpowiedział: „Wolałbym go nie sprzedać w
Paryżu niż nie wystawić w Warszawie!”. Miejmy

nadzieję, że słowa te nasi potomni będą czytać (daj Boże jak najpóźniej) na grobie mistrza.

Wiadomość III–cia. Matka naszego mistrza po otrzymaniu depeszy z Paryża ciężko zaniemogła ze wzruszenia.

Wiadomość IV–ta. Dowiadujemy się w chwili oddania numeru pod prasę, że matka naszego mistrza ma się lepiej.

Wiadomość V–ta. Mistrz nasz otrzymał wezwania o wystawienie obrazu ze wszystkich stolic europejskich.

Pod nadmiarem tych potwornych kłamstw przychodzę nieco do siebie. Ostrzyński, redaktor „Latawca”, a zarazem eks-konkurent do Kazi, chyba oszalał, bo to już przechodzi wszelką miarę. Naturalnie, że obraz wystawię przede wszystkim w Warszawie, ale I–o nikomu jeszcze o tym nie mówił; II–o wiceprezes Tow. Zach. Szt. Pięk. O nic mnie nie pytał; III–o nic mu nie odpowiedziałem; IV–o matka moja umarła przed dziewięciu laty; V–o nie dostałem znikąd wezwania o wystawienie obrazu.

Co gorzej: w jednej chwili przychodzi mi na myśl, że jeśli depesza jest tak prawdziwa jak pięć wiadomości, to bywaj zdrow... Ostrzyński, który pół roku temu, mimo iż rodzice byli za nim, dostał kosza od Kazi, może umyślnie chciał mnie wystrychnąć na dudka, ale w takim razie „przyplaci mi to głową albo czymśkolwiek takim!”, jak mówi libretto pewnej opery. Koledzy jednak uspokajają mnie, że wiadomość mógł Ostrzyński pofabrykować, ale depesza musi być prawdziwą.

Jednocześnie też nadchodzi Stach Kłosowicz z porannym numerem „Bieguna”. Depesza jest i w „Biegunie”. Oddycham.

Zaczynają się teraz poszczególne powinszowania.

Stary Słudecki – fałszywa sztuka do gruntu, a słodka jak syrop – potrząsa moją ręką i mówi:

– Boże kochany! Zawsze wierzyłem w geniusz kolegi i zawsze broniełem kolegę... (wiem, że nazywał mnie osłem...), ale... Boże kochany... może kolega sobie nie życzy, żeby taki *fa presto* jak ja nazywał kolegę kolegą, w takim razie niech kolega wybaczy dawnemu przyzwyczajeniu, Boże kochany...

Życzę mu w duszy, żeby wisiał, ale nie mogę mu odpowiedzieć, bo w tej chwili odciąga mnie na bok Karmiński i mówi z cicha, ale tak, żeby go słyszano:

– Może kolega potrzebuje pieniędzy, to niech kolega powie, a ja tego...

Karmiński znany jest między nami ze swej uczynności. Raz w roku mówi któremuś z nas: „Jeżeli kolega potrzebuje pomocy, to niech kolega powie, a tego – do widzenia!”. A naprawdę ma pieniądze. Odpowiadam mu, że jak nie znajdę gdzie indziej, to się do niego udam. Tymczasem przychodzą inni, szczerze chłopaki jak złoto i ściskają mnie, aż mnie boki bołą. Zbliża się na koniec Świąteczki; widzę, że jest wzruszony, ale ukrywa to i mówi szorstko:

– Choć widzę, że zzydziejesz, ale ci winszuję!

– Choć widzę, że głupiejesz, ale ci dziękuję – odpowiadam mu i ściskamy się z całej siły.

Wach Poterkiewicz wspomina coś, że mu wyszło w gardle. Ja nie mam ani grosza, ale Światecki ma dwa ruble, inni mają także. Następuje składka i poncz... Piją moje zdrowie, podrzucają mnie znów w górę, a że im powiadam, że z Susłowskimi sprawa naprawiona, więc piją i zdrowie Kazi. Wtem Światecki przychodzi do mnie i mówi:

– Czy myślisz, młody idioto, że oni nie czytali przedtem depeszy, nim panna do ciebie napisała?

Oj! Malwa! Jakbym pałką w głowę dostał. Z jednej strony widnokrąg mi się rozjaśnia, z drugiej diablo ściemnia. Po Susłowskich można się wszystkiego spodziewać, ale żeby Kazik był zdolny do takiego wyrachowania!

Bardzo jest jednak prawdopodobne, że rano na wodach przeczytali depeszę i zaraz mnie wezwano.

W pierwszej chwili chcę lecieć do Susłowskich i stanąć im do oczu.

Ale nie mogę opuścić kompanii... Nadchodzi przy tym Ostrzyński, elegancki, zimny, pewny siebie, urękawiczony jak zwykle. Spryt od niego bije jak łuna, bo to wyga kuty na cztery nogi.

Od progu już poczyna machać protekcjonalnie laską i mówi:

– Winszuję, mistrzu, i ja winszuję.

To „ja” wymawia z przyciskiem, jak gdyby powinszowanie od niego znaczyło więcej niż jakiegokolwiek inne.

Być może zresztą, że tak jest...

– Coś ty nazmyślał! – wołam – jak mnie tu widzisz, tak dopiero z „Latawca” dowiedziałem się o wszystkim.

– Cóż mnie to może obchodzić? – powiada Ostrzyński.

– O wystawieniu obrazu nic także nie mówiłem.

– A teraz mówisz – powiada z flegmą Ostrzyński.

– I on matki nie ma, i matka jego nie zasłała! – woła Wojtek Michalak.

– Mało mnie to obchodzi – powtarza z godnością Ostrzyński, zdejmując drugą rękawiczkę.

– Ale depesza prawdziwa?

– Prawdziwa.

Zapewnienie to uspokaja mnie zupełnie. Przez wdzięczność nalewam mu ponczu. On przytyka usta do brzegu szklanki, wypija łyk, a następnie mówi:

– Naprzód twoje zdrowie, a drugi haust wypiję, wiesz za czyje?... Winszuję ci podwójnie.

Ostrzyński wzrusza ramionami.

– Skąd wiesz?

– Bo przecież Susłowski był dziś przed ósmą w redakcji.

Świąteczki poczyną coś mrużyć o ludziach podłych w ogólności; ja nie mogę dłużej wytrzymać i porywam za kapelusz. Ostrzyński wychodzi ze mną, ale zostawiam go po drodze i po paru minutach dzwonię po raz drugi do Susłowskich. Otwiera mi znów Kazia; rodziców nie ma w domu.

– Kazik! – mówię surowo – wiedziałaś o depeszy?

– Wiedziałam – odpowiada spokojnie.

– A... Kazik!

– Cóż chcesz, mój drogi? Rodzicom się nie dziw... Przecie oni muszą mieć jakiś powód rozsądny, dla którego zgadzają się na ciebie.

– Ale ty, Kaziu?

– A ja skorzystałam z pierwszej sposobności... czy to mi masz za złe, Władku?

W oczach mi się rozjaśnia i zdaje mi się, że Kazia ma zupełną słuszość. Właściwie mówiąc: czegom ja tu przyleciał jak wariat? Tymczasem Kazik zbliża się i opiera główkę o moje ramię; ja obejmuję ją wpół, ona przechyla mi przez ramię twarzyczkę, zamyka oczy, wysuwa swój różowy dzióbek i szepce:

– Nie, nie, Władku!... nie teraz... po ślubie... proszę cię!

Wskutek tej prośby przyciskam ustami jej dzióbek i pozostajemy tak, póki nam proces oddychania pozwala. Oczy Kazi robią się omdlałe... Wreszcie zasłania je i mówi:

– A takem cię prosiła, żeby nie...

Wymówka i spojrzenie spod ręki rozczulają mnie do tego stopnia, że całuję ją po raz drugi. Gdy się kogoś kocha, ma się naturalnie większą ochotę całować go niż na przykład bić... A ja kocham Kazię bez miary i pamięci, za życia do śmierci, po śmierci! Ona albo żadna i basta!

Kazia wyraża zdyszczanym głosem obawę, że stracę dla niej szacunek. Najdroższe stworzenie! Jakie ona głupstwa plecie! Uspokajam ją, jak mogę, i poczynamy mówić rozsądnie.

Staje między nami umowa, iż jeśli państwo Susłowscy będą udawali, że o depeszy dowiedzieli się później, to nie dam im poznać, że wiem, jak rzeczy stoją – po czym żegnam Kazika obiecawszy jej, że przyjdę wieczorem.

Jakoż muszę lecieć do kancelarii Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych; przez nią najłatwiej mi będzie porozumieć się z sekretariatem Salonu.

ROZDZIAŁ III

Posyłam depeszę z oświadczeniem, że zgadzam się na cenę barona Hirsza, ale że przedtem postanawiam wystawić obraz w Warszawie etc.

Na wysłanie depeszy oraz na inne potrzeby pożyczam pieniędzy w zarządzie. Dają mi bez wahania. Wszystko idzie jak po maśle...

W „Latawcu” i „Biegunie” wychodzą moje biografie, w których zresztą nie ma słowa prawdy, ale jak mówi Ostrzyński: „Cóż to mnie może obchodzić?”. Otrzymałem także wezwanie do dwóch ilustracji. Chcą pomieścić moje portrety i reprodukcje mego obrazu. Dobrze!

Monety będzie jak wody.

ROZDZIAŁ IV

W tydzień później odbieram zadatek od barona Hirsza.

Całość będzie wypłacona, kiedy nabywca wejdzie w posiadanie płótna; tymczasem Bank Handlowy pali mi na stół pięć tysięcy franków w samych ludwikach. Jak żyję, nie widziałem tyle pieniędzy. Wracam obładowany jak muł.

W pracowni zebranie. Rozrzucam moje ludwiki po podłodze, a że nigdy dotąd nie tarzałem się w złocie, więc poczynam się tarzać w złocie. Po mnie tarza się Światecki... Nadchodzi gospodarz i myśli, że dostaliśmy pomieszania zmysłów... Bawimy się kannibalsko!

ROZDZIAŁ V

Ostrzyński powiada mi któregoś dnia, iż czuje się szczęśliwy, że dostał kosza od Kazi, bo otwierają się przed nim widoki, o których nie mogę mieć najmniejszego wyobrażenia.

Bardzo z tego rad, a raczej mi to wszystko jedno; wierzę przy tym, że Ostrzyński da sobie rady w życiu.

Gdy się starał o Kazię, rodzice jej byli za nim, a zwłaszcza ojciec Susłowski. Ostrzyński miał nawet nad

nim zupełną przewagę, posuniętą do tego stopnia, że ten Rzymianin tracił wobec niego swą posagowość. Kazia natomiast nie cierpiała go od pierwszej chwili poznania. Był to jakiś bezwiedny wstręt, bo zresztą jestem zupełnie pewien, że nie raził jej tym, czym zraża mnie i wszystkich znających dokładniej tę naturę.

Jest to dziwny człowiek, a raczej dziwny literat.

Są zapewne nie tylko u nas, ale we wszystkich większych ogniskach literatury i sztuki, ludzie, o których myśląc, pytamy się mimo woli: skąd bierze się ich powaga?

Do takich należy mój przyjaciel z „Latawca”. Kto by uwierzył, że tajemnicą znaczenia Ostrzyńskiego i racją jego umysłowego bytu jest to, że Ostrzyński nie lubi i nie szanuje talentów, zwłaszcza pisarskich – i że po prostu żyje z lekceważenia ich... Ma on dla nich pogardę człowieka, któremu poprawność życiowa, pewna doraźna bystrość i wielki spryt zapewniają w życiu towarzyskim ustawicznie nad nimi zwycięstwa.

I trzeba go widzieć na sesjach, na zebraniach artystycznych, literackich, na obiadach jubileuszowych, z jaką pobłażliwą ironią traktuje ludzi, którzy w zakresie twórczości mogą dziesięć razy więcej od niego, jak ich przyciska do muru, jak ich miesza swoją logiką, swoim rozsądkiem, jak im narzuca swą literacką powagę.

Światecki, ilekroć wspomni o tym, woła o deskę z łóżka, za pomocą której ma zamiar roztrzaskać głowę Ostrzyńskiego, ale mnie nie dziwi ta jego przewaga. Ludzie prawdziwie utalentowani bywają częstokroć

niezgrabni, nieśmiali, pozbawieni właśnie doraźnej bystrości i równowagi umysłowej... Ale dopiero gdy prawdziwy talent znajdzie się w samotności sam z sobą, naraz u ramion wyrastają mu skrzydła. Ostrzyński zaś w tych warunkach chyba idzie spać, bo sobie nie ma absolutnie nic do powiedzenia.

Przyszłość zrobi między tymi ludźmi porządek, ponadaje rangi i wyznaczy każdemu odpowiednie miejsce. Ostrzyński jest nadto sprytny, żeby nie miał o tym wiedzieć, ale w duszy drwi z tego. Dość mu, że w chwili obecnej więcej znaczy i że bardziej się z nim liczą niż z lepszymi od niego.

My, malarze, mniej mu zawadzamy. Robi on jednak czasem reklamę i talentom pisarskim, ale wówczas tylko, gdy wymagają tego interesa „Latawca” i współzawodnictwo z „Biegunem”. Zresztą dobry towarzysz i miły człowiek. Mogę powiedzieć, że go lubię, ale...

Niech diabeł porwie Ostrzyńskiego – dość o nim...

ROZDZIAŁ VI

Doprowadzą mnie do tego, że kiedykolwiek trzasnę drzwiami.

Co za komedia! Od czasu jak mam sławę i pieniądze, Susłowski, wbrew moim własnym przewidywaniom, obchodzi się ze mną po prostu

pogardliwie. On, żona, wszyscy krewni i krewne Kazi traktują mnie lodowato.

Pierwszego wieczora Susłowski oświadczył, iż jeśli sądzę, że moja nowa pozycja wpłynęła na ich postępowanie albo jeśli przypuszczam – jak to zresztą widać po mnie – że im robię łaskę, to jakkolwiek oni są gotowi poświęcić dużo dla szczęścia dziecka, jednak nawet i to jedyne dziecko nie może wymagać od nich, żeby poświęcili swą ludzką godność. Matka dodała, iż dziecko wiedziałoby, gdzie w takim razie szukać schronienia. Poczciwa Kazia występuje w mojej obronie, czasem bardzo opryskliwie, ale oni czyhają na każde moje słowo.

Ledwie usta otworzę, Susłowski zagryza wargi, spogląda na żonę i kiwa, jakby chciał powiedzieć: „Wiedziałem, że się na tym skończy!”. Taką piłę urządzają mi od rana do wieczora.

I pomyśleć, że to wszystko hipokryzja, że to ma służyć właśnie do zatrzymania mnie w sieci, że w gruncie rzeczy pieją do moich piętnastu tysięcy franków, i że jest im tak samo pilno jak i mnie, chociaż powody nasze są odmienne.

Czas skończyć.

Doprowadzili mnie do tego, że zdaje mi się, iż istotnie popełniłem jakąś podłość dostawszy złoty medal i piętnaście tysięcy franków za obraz.

ROZDZIAŁ VII

Nadchodzi dzień moich zaręczyn.

Kupiłem śliczny pierścionek w stylu Louis XV, który się nie podobał Susłowskiemu, a nawet i Kazi, bo tam w całym domu nikt nie ma pojęcia o prawdziwej sztuce.

Nad Kazią muszę jeszcze dużo pracować, żeby wypłenić w niej mieszczańskie zamiłowania i nauczyć ją czuć artystycznie; ale ponieważ mnie kocha, więc jestem dobrej myśli.

Na zaręczyny nie prosiłem nikogo prócz Świateckiego. Chciałem, żeby przedtem był z wizytą u Susłowskich, on wszelako twierdzi, że jakkolwiek jest fizycznym i moralnym bankrutem, jednakże do tego stopnia jeszcze nie spodłał, żeby miał chodzić z wizytami... Nie ma rady!

Przygotowuję Susłowskich z góry, że mój przyjaciel jest to wyjątkowy oryginał, ale zresztą genialny malarz i najpocześniejszy człowiek na świecie.

Susłowski dowiedziawszy się, że mój przyjaciel maluje „truposze”, „trupielce” i „trupię ta”, podnosi brwi, oświadczając, że dotychczas miał do czynienia z ludźmi porządnymi, że cała jego kariera urzędnicza była nieskalaną i że ma nadzieję, iż „pan Światecki” zechce uszanować zwyczaje panujące w uczciwym i skromnym domu...

Wyznaję, że pod tym względem nie jestem wolny od obaw i od rana wojuję ze Świateckim. Upiera się, że

przyjdzie z nogawicami w butach. Perswaduję, proszę, błagam.

Nareszcie zgadza się, oznajmiając, że ostatecznie nie widzi powodu, dla którego by nie miał zostać błaznem. Szkoda, że buty jego przypominają buty eksploratorów środkowej Afryki, bo czernidło nie powstało na nich od chwili, kiedy je przyniesiono na kredyt od szewca. Cóż robić!

Gorzej jeszcze, że głowa Świateckiego wygląda jak tatrzański szczyt pokryty lasem połamanym przez trąbę powietrzną. Z tym muszę się pogodzić, bo nie ma na świecie zgrzebła, które by tej czuprynie dało radę, ale natomiast zmuszam Świateckiego, żeby zamiast bluzy, w której chodzi co dzień, włożył surdut. Czyni to, ale z tym wszystkim ma minę jednego ze swych „truposzów”, a jednocześnie wpada w grobowy humor.

Na ulicy ludzie oglądają się na jego sękaty drag i olbrzymi obdarty kapelusz, ale do tego jestem przyzwyczajony...

Dzwonimy, wchodzimy.

W przedpokoju już dochodzi mnie głos kuzyna Jaczkowicza rozprawiającego o przeludnieniu. Kuzyn Jaczkowicz stale rozprawia o przeludnieniu; to jego mądrość. Kazita wygląda w swoich muślinach jak obłoczek i jest śliczną... Susłowski we fraku, krewni we frakach, stare ciotki w jedwabnych sukniach.

Wejście Świateckiego robi wrażenie. Przypatrują nam się z pewnym niepokojem... on spogląda ponuro dokoła i oświadcza Susłowskiemu, że pewnie by się nie

naprzykrzał, „gdyby nie to, że Władek się żeni, czy tam coś takiego...”

To „coś takiego” jest przyjęte jak najfatalniej. Susłowski prostuje się z godnością i pyta, co pan Światecki rozumie przez „coś takiego...” Pan Światecki odpowiada, że mu to jest wszystko jedno, ale że „dla Władka” mógłby się nawet uwniksować, zwłaszcza gdyby wiedział, że panu Susłowskiemu co na tym zależy... Mój przyszły teść spogląda na żonę, na mnie i na Kazię wzrokiem, w którym zdumienie walczy o lepszą ze zgorszeniem.

Szczyściem, ratuję położenie i z rzadką u mnie przytomnością umysłu proszę przyszłego teścia, by mnie przedstawił tym członkom rodziny, których nie znam...

Następuje prezentacja, po czym siadamy.

Kazia siada koło mnie i zostawia swoją rękę w moich. W pokoju pełno jest ludzi, ale wszyscy są sztywni i milczący. Atmosfera jest ciężka.

Kuzynek Jaczkowicz wraca znów do rozmowy o przeludnieniu. Mój Światecki patrzy pod stół... W ciszy rozlega się coraz donośniej głos Jaczkowicza, który nie mając przedniego zęba, wszędzie, gdzie mu przychodzi wymówić *sz*, wydaje świst przeciągły...

– Najokropniejsze klęski mogą z czasem z tego wyniknąć dla całej Europy – mówi Jaczkowicz.

– Emigracja... – wtrąca ktoś z boku.

– Statystyka wykazuje, że emigracja nie zapobiega przeludnieniu.

Nagle Światecki podnosi głowę i zwraca swe rybie oczy na mówiącego.

– A to trzeba wprowadzić u nas chińskie zwyczaje – odzywa się posepnym basem.

– Za pozwoleniem... jak to chińskie zwyczaje?

– Bo w Chinach rodzice mają prawo dusić niedołączne dzieci – to cóż! To trzeba, żeby u nas dzieci miały prawo dusić niedołącznych rodziców.

Stało się! Piorun uderzył, kanapa jęknęła pod ciotkami, a ja zginałem. Susłowski zamyka oczy, traci na jakiś czas mowę.

Milczenie.

Po czym rozlega się drżący ze zgrozy głos mego przyszłego teścia:

– Mój panie, spodziewam się, że jako chrześcijanin...

– Dlaczegoż ja mam być chrześcijaninem? – przerywa Światecki, potrząsając złowrogo głową.

Drugi piorun! Kanapa z ciotkami poczyną dygotać jak w febrze i leci w przepaść... Ja czuję, że pode mną również ziemia się rozstępuje.

Wszystko stracone, cała nadzieja na nic.

Nagle wybucha dźwięczny jak dzwonek śmiech Kazi, za nim wybucha śmiechem, nie wiedząc dlaczego, Jaczkowicz, za Jaczkowiczem wybucham, także nie wiedząc dlaczego... ja.

– Tatku! – woła Kazia. – Władzio uprzedził tatka, że pan Światecki oryginał. Pan Światecki żartuje, a ja wiem, że pan Światecki ma matkę i jest dla niej najlepszym synem!

Śmiech jej i powyższe słowa sprawiają pewną dywersję. Jeszcze większą sprawia wejście służącego z winem i ciastkami. Jest to ten sam stróż, który mi zabrał ostatnie trzy ruble, ale teraz ubrano go we frak i występuje przygodnie jak lokaj. Oczy trzyma utkwione w tacę, szkło brzęczy, on zaś posuwa się tak wolno, jakby niósł szklanekę pełną wody.

Zaczynam się bać, czy nie spuści wszystkiego na ziemię; na szczęście obawa moja okazuje się płonną...

Po chwili kieliszki są napełnione.

Przystępujemy do aktu zaręczyn...

Małoletnia kuzynka trzyma porcelanowy talerz, na którym leżą dwa pierścionki. Oczy wyłazą jej z głowy z ciekawości i cała ceremonia sprawia jej tak widoczną rozkosz, że aż podskakuje razem z talerzem i pierścionkami. Susłowski wstaje, wszyscy wstają, słysząc łoskot odsuwanych krzesel.

Nastaje cisza. Słyszę, jak jedna z matron robi szeptem uwagę, że spodziewała się, iż mój pierścionek będzie „porządniejszy”... Mimo tej uwagi nastrój jest tak uroczysty, że muchy padają ze ścian...

Susłowski zabiera głos:

– Moje dzieci, przyjmijcie błogosławieństwo rodziców.

Kazia klęka, klękam i ja...

Jaką ten Świąteczki musi mieć w tej chwili minę!
Jaką on musi mieć minę!

Ale nie śmiem na niego spojrzeć. Patrzą na muślinową suknię Kazi, która na spłowiałym czerwonym dywanie tworzy bardzo ładną plamę. Ręce

Susłowskiego i pani Susłowskiej opierają się na naszych głowach, po czym mój przyszły teść mówi:

– Moja córko! Ty miałaś najlepszy przykład w domu, czym powinna być żona dla męża, więc nie potrzebuję cię uczyć obowiązków, które zresztą mąż ci wskaże [spodziewam się!...]. Ale do ciebie zwracam się, panie Władysławie...

Tu następuje mówka, w czasie której liczę do stu, a doliczywszy do stu, zaczynam znów od jednego. Susłowski obywatel, Susłowski urzędnik, Susłowski ojciec, Susłowski Rzymianin – ma sposobność do okazania całej wielkości swej duszy... Słowa: dziecko, rodzice, obowiązki, przyszłość, błogosławieństwo, ciernie, czyste sumienie – brzmia mi koło uszu jak stado os, obsiadają mi głowę, tną mnie w wyżej wzmiankowane uszy, w kark i czub...

Muszę mieć krawat trochę ciasno zawiązany, bo mi się robi duszno. Słyszę płacz pani Susłowskiej, który mnie rozczula, bo to w gruncie poczciwa kobieta, słyszę brzęk pierścionków, trzymany na talerzu przez podskakującą kuzynkę. Chryste Panie, jaką ten Świąteczki musi mieć minę!

Wreszcie wstajemy. Kuzynka podsuwa mi talerz pod same oczy. Zamieniamy z Kazią pierścionki...

Uf! Jestem zaręczony! Myślę, że to koniec, ale nie, bo Susłowski wzywa nas, byśmy poszli prosić o błogosławieństwo wszystkich ciotek.

Idziemy. Całuję z pięć rąk podobnych do łap bocianich... Wszystkie ciotki spodziewają się, że nie zawiodę ich zaufania.

Jakie u diabła mogły mieć we mnie zaufanie?
Kuzyn Jaczkowicz bierze mnie w objęcia. Stanowczo
muszę mieć krawat za mocno zawiązany...

Ale najgorsze przeszło. Mroczy się... Wnoszą
herbatę.

Siedzę obok Kazi i ciągle udaję, że nie widzę
Świateckiego. Małpa, napędza mi raz jeszcze niepokoju,
gdy na pytanie, czy nie doleje do herbaty nieco araku,
odpowiada, że arak pija tylko butelkami... Zresztą
wieczór kończy się szczęśliwie.

Wychodzimy. Zaczerpuję pełną piersią powietrza.
Istotnie, krawat miałem za ciasno związany.

Idziemy z Świateckim w milczeniu. To milczenie
zaczyna mi ciążyć i wkrótce staje mi się nieznośne.
Czuję, że wypada zagadać do Świateckiego, powiedzieć
mu coś o moim szczęściu, o tym, jak wszystko ślicznie
się odbyło i jak kocham Kazię... Zbieram się: nie idzie!
Na koniec blisko już pracowni powiadam:

– Przyznaj, Światecki, że jednak życie bywa
piękne.

Światecki zatrzymuje się, rzuca mi spojrzenie
spode łba i powiada:

– Pudel!

Tego wieczoru nie mówiliśmy więcej ze sobą.

ROZDZIAŁ VIII

W tydzień po zaręczynowym wieczorze przyszły moje Żydy na wystawę.

Obraz umieszczono w osobnej sali i zarząd pobiera osobną opłatę za wejście. Połowa czystego dochodu idzie dla mnie... Na wystawie podobno tłok od rana do wieczora.

Byłem raz tylko, ale że patrzono na mnie więcej niż na obraz, nie pójdę więcej, bo po co się mam na próżno złościć?

Gdyby obraz mój był arcydziełem, jakiego dotąd nie widziano na świecie, jeszcze publiczność będzie wolała zadowolić tę ciekawość, na mocy której pójdzie oglądać „Krao” lub Hotentota zjadającego żywe gołębie.

Takim Hotentotem jestem w tej chwili ja... Byłbym z tego kontent, gdybym naprawdę był pudlem. Ale zanadto jestem malarzem, żeby nie miało mnie złościć takie poniżenie sztuki wobec modnej osobliwości...

ROZDZIAŁ IX

Przed trzema tygodniami mało kto o mnie wiedział, a teraz zaczynam odbierać dziesiątki listów, po większej części miłosnych. Na pięć cztery, o zakład, poczynają się od słów: „Może przeczytawszy ten list, pogardzisz

kobietą, która etc.” – Nie pogardzę kobietą pod warunkiem, że kobieta odczepi się od duszy mojej.

Żeby nie Kazia, może bym, prawdę powiedziawszy, nie wzruszał tak ramionami nad tym potokiem uczuć.

To mnie głównie oburza, jak się może taka „nieznajoma” spodziewać, że mężczyzna, który jej naprzód nie widział, odpowie na niewidzianego jej wezwaniu. Uchył naprzód zasłony, o piękna nieznana! aAgdy cię zobaczę, wówczas dopiero ci powiem... Oj! Nic nie powiem, bo Kazia!...

Odebrałem też anonim od jakiejś siwowłosej przyjaciółki, w którym ja jestem nazwany mistrzem, a Kazia gąską.

„Mistrzu, czy to żona dla ciebie? – pyta moja siwowłosa przyjaciółka. – Czy to wybór godny tego, na którego oczy całego kraju są zwrócone? Jesteś ofiarą intrygi etc.”

Dziwne przypuszczenie, a dziwniejsze jeszcze wymaganie, żebym ja się miał zenić nie dla dogodzenia sercu, ale dla oczarowania opinii.

I ta biedna Kazia już im zawadza.

Są zapewne większe zbrodnie od anonimowych listów, ale nie ma większego... jakby tu ładnie powiedzieć?... Mniejsza o to!

Termin mego ślubu z Kazią jeszcze nieoznaczony, ale to nie za długo nastąpi.

Tymczasem każę się Kazikowi ślicznie ubrać i zaprowadzę ją na wystawę.

Niech nas widzą razem...

Nadeszły też z Paryża i dwa „truposze” Świateckiego.

Obraz zatytułowany jest *Ostatnie spotkanie*, a przedstawia chłopca i dziewczynę leżących na prosekcyjnym stole. Na pierwszy rzut oka pomysł tłumaczy się doskonale. Widać, że tych dwoje zmarłych kochało się za życia, że ich rozłączyła nędza, a złączyła śmierć.

Studenci, pochyleni nad trupami, wyszli w obrazie trochę twardo, w perspektywie prosektorium są wady, ale „truposze” malowane pysznie. Takie trupy, że aż lodem od nich wieje. W Salonie obraz nie dostał nawet odznaczenia, może dlatego, że jest okropnie przykry, ale krytyka go chwaliła.

Między naszą „malarią” jest bez wątpienia dużo talentów. Oto obok „truposzków” Świateckiego wystawił Franek Cepkowski *Śmierć Kordeckiego*. Ogromna siła i ogromny indywidualizm!

Światecki nazywa Franka idiotą, raz dlatego, że Cepkowski nosi grzywkę i brodę w klin, po wtóre, że ubiera się wedle ostatniej mody, a po trzecie, że jest okropnie dobrze wychowany, ceremonialny i wspomina dość często o swoich wysoce urodzonych krewnych.

Ale Światecki się myli...

Talent – jest to taki ptak, który się gnieździ, gdzie mu się podoba, raz w dzikiej puszczy, drugi raz w strzyżonym ogrodzie.

Widziałem w Monachium i Paryżu takich malarzy, co wyglądali na parobków od piwowara albo odwrotnie: na fryzjerów, na gagacików; trzech groszy by człowiek

za nich nie dał, a tymczasem miała bestia jedna i druga w duszy jakąś egzaltację, jakieś niezwykle poczucie kształtów, kolorów i moc wyrzucania z siebie tego poczucia na płótno. Ostrzyński, który ma utarte wyrażenia na wszystko, napisałby, mówiąc o tym, w swoim „Latawcu”: *Spiritus flat, ubi vult!*

Według zdania Świateckiego, malarstwo historyczne jest „obskurną barbarią”. Nie maluję rzeczy historycznych i osobiście wszystko mi to jedno, ale słyszę ten pogląd niby postępowy na wszystkie strony. Zrobiono już z niego piłę i poczyna mnie to nudzić!

Nasi Polaczkowie malarze mają jedną wadę. Oto zenią się zaraz z jakimiś doktrynami o sztuce, a następnie żyją pod ich pantoflem, patrzą na wszystko ich oczyma, naciągają do nich sztukę i lepiej apostołują, niż malują. Odwrotnie do tego, com powiedział wyżej, znałem znów takich malarzy, którym się aż wargi wystrzępiały od gadania, co jest sztuka i jaką powinna być, a jak przyszło wziąć się do pędzla, to nie mogli nic...

Nieraz myślałem, że teorię sztuki powinni tworzyć filozofowie – i jeśli stworzą głupią – niech za to odpowiadają, a malarze powinni malować, co któremu serce dyktuje i umieć malować, bo to grunt...

Podług mnie, najmizerniejszy talent wart jest więcej niż najwspanialsza doktryna, a najwspanialsza doktryna niewarta jest swobodzie butów czyścić.

ROZDZIAŁ X

Byłem z Kazią i Susłowskimi na wystawie.

Przed moim obrazem zawsze tłumy.

Poczęto szeptać, jakeśmy tylko weszli, i tym razem patrzano najwięcej nie na obraz i nie na mnie, ale na Kazię. Kobiety zwłaszcza nie spuszczały z niej oczu. Widziałem, że była bajecznie z tego kontenta, ale nie mam jej tego za złe...

Gorzej, że na „truposze” Świateckiego powiedziała, że to jest obraz „nieprzyzwoity”. Susłowski oświadczył, że z ust mu to wyjęła, ale ja byłem wściekły. Żeby też Kazia miała taki pogląd na sztukę!

Ze złości pożegnałem ich zaraz i pod pozorem, że muszę się widzieć z Ostrzyńskim, poszedłem naprawdę do Ostrzyńskiego, ale po to, żeby go wyciągnąć na śniadanie.

ROZDZIAŁ XI

Widziałem cud i kwita!

Teraz dopiero zrozumiałem, dlaczego człowiek ma oczy.

Corpo di Baccho! Co za piękność!

Idziemy z Ostrzyńskim. Nagle patrzę, na rogu Wierzbowej mija nas jakaś kobieta. Staję jak wryty,

dębieję, kamienieję, otwieram oczy, tracę przytomność,
chwytam bezwiednie Ostrzyńskiego za krawat,
rozwiązuję Ostrzyńskiemu krawat – i – ratunku, bo
ginę!

Co tam, że ona ma doskonałe rysy... Nic rysy! – ale
to jest po prostu pomysł artystyczny! Arcydzieło jako
rysunek, arcydzieło jako koloryt, arcydzieło jako
sentyment. Greuze zmartwychwstałby na jej widok, a
następnie powiesiłby się, że takie czupiradła malował.

Patrzę i patrzę... Idzie sama – gdzie tam! idzie z nią
poezja, idzie muzyka, idzie wiosna, idzie rozkosz i
kochanie. Nie wiem, czybym ją chciał od razu malować,
bo wolałbym klęknąć przed nią i całować ją po nogach
za to, że się taką urodziła. Czy ja wiem zresztą, czego
bym chciał!...

Mija nas sobie, taka pogodna jak dzień letni.
Ostrzyński kłania jej się, ale ona go nie widzi... Ja budzę
się jak z olśnienia i krzyczę:

– Chodźmy za nią!

– Nie! – powiada Ostrzyński – czyś zwariował?

Muszę zawiązać krawat. Dajże pokój! To moja
znajoma.

– Twoja znajoma? Przedstaw mnie!

– Ani myślę... pilnuj swojej narzeczonej.

Ciskam przekleństwo na Ostrzyńskiego i jego
potomstwo aż do dziewiątego pokolenia, po czym chcę
sam lecieć za nieznaną.

Na nieszczęście siadła do dorożki.

Z daleka widzę tylko jej ryżowy kapelusz i
czerwoną parasolkę.

- Znasz ją naprawdę? – pytam Ostrzyńskiego.
- Ja wszystkich znam!
- Co to za jedna?
- To pani Helena Kołczanowska, z domu Turno, inaczej tak zwana panna-wdowa.
- Dlaczego panna-wdowa?
- Bo jej mąż umarł przy cukrowej kolacji. Jeśliś już ochłonął, to ci powiem jej historię. Był sobie bardzo bogaty, bezdzietny kawaler Kołczanowski de Kołczanowo, szlachcic z Ukrainy. Miał ogromnie dużą rodzinę, która spodziewała się po nim dziedziczyć – i ogromnie krótką szyję, która dodawała tym większej otuchy spadkobiercom. Spadkobierców tych znałem. Byli istotnie zupełnie porządni ludzie, ale cóż chcesz! Najporządniejsi, najmniej interesowni z nich nie mogli się wstrzymać od spoglądania na szyję Kołczanowskiego. Tak to wreszcie dokuczyło staremu, że na złość rodzinie oświadczył się o córkę sąsiada, zrobił intercyzę, zapisał jej cały majątek, następnie wziął ślub, po ślubie było wesele, przy końcu wesela cukrowa kolacja, a przy końcu cukrowej kolacji apopleksja zabiła go na miejscu... W ten sposób pani Helena została panną-wdową – rozumiesz?
- Dawno to było?
- Trzy lata temu. Miała wówczas dwudziesty drugi rok... Od tego czasu mogła dwadzieścia dwa razy iść za mąż, ale nie chce... Przypuszczano, że czeka na księcia. Pokazało się, że i to nie, bo niedawno odpaliła księcia. Zresztą wiem dobrze, że tam nie ma żadnych pretensji, a najlepszy dowód, że pani Kołczanowska żyje

dotychczas w ścisłej przyjaźni z naszą znaną, sympatyczną, utalentowaną etc. Ewą Adami, z którą kolegowiała swego czasu na pensji.

Usłyszawszy to, ażem podskoczył z radości.

Jeśli tak, to mniejsza o Ostrzyńskiego. Moja kochana, poczciwa Ewusia ułatwi mi poznanie pani Heleny Kołczanowskiej.

– Słuchaj, więc nie wprowadzisz mnie do niej? – pytam Ostrzyńskiego.

– Ostatecznie, jak kto się chce z kimś w mieście poznać, to się pozna – odpowiada Ostrzyński – ale żeś ty mnie odsadził od Kazi, więc nie chcę, by w danym razie powiedziano, że się przyczynił... Czy ja wreszcie wiem... Bądź zdrów!

ROZDZIAŁ XII

Miałem być tego dnia na obiedzie u Susłowskich, ale napisałem im, że nie będę...

Zęby nie bolały mnie wprawdzie nigdy w życiu, ale mogły mnie przecie rozboleć.

Hela nie schodziła mi z oczu cały dzień, bo wreszcie co by to był za malarz, który by o takiej twarzy nie rozmyślał?

Namalowałem w duszy z dziesięć jej portretów. Przyszedł mi także pomysł do jednego obrazu, w

którym taka twarz jak Heli świetnie by robiła wrażenie. Trzeba by mi tylko widzieć ją jeszcze z parę razy.

Poleciałem do Ewki Adami, ale jej nie zastałem. Wieczorem odebrałem kartkę od Kazi z zaproszeniem na jutro na wody do ogrodu, a następnie na kawę. Prawdziwa piła z tymi wodami i z tą kawą!

Nie mogę pójść, bo jak z rana nie zastanę Ewy w domu, to jej cały dzień nie złapię...

Ewa Adami (to jej teatralne nazwisko, naprawdę nazywa się Anna Jedlińska) jest wyjątkową dziewczyną.

Żyję z nią od dawna w przyjaźni i mówimy sobie „ty” ...

Będzie już piąty rok, jak weszła do teatru, a pozostała czystą w całym znaczeniu tego słowa. Bo w teatrach znajduje się zapewne dużo kobiet fizycznie niewinnych, ale gdyby gorsety ich chciały kiedy zdradzić wszystkie żądze swych pań, przypuszczam, że najbezpieczniejszy pawian mógłby się zarumienić na wszystkich niepokrytych sierścią miejscach. Teatr psuje dusze, zwłaszcza kobiece.

Trudno nawet wymagać, żeby w kobiecie, która gra co wieczór miłość, wierność, szlachetność itp., nie wyrobiło się w końcu instynktowne poczucie, że te wszystkie cnoty są to rzeczy kinkietowe, należące do sztuki dramatycznej i aktorskiej, a niemające żadnego związku z życiem.

Ogromna różnica między sztuką a rzeczywistością życia utwierdza je w tym poczuciu; współzawodnictwo i zawiść o oklaski zatruwają szlachetniejsze porywy serca.

Ciągłe zetknięcie z ludźmi tak zepsutymi jak aktorzy rozbudza w nich zmysły. Nie ma tak białego kota angora, który by nie umorusał się w podobnych warunkach. Zwyciężyć je może tylko olbrzymi talent, który się oczyszcza w ogniu sztuki, albo natura tak na wskroś estetyczna, że zło nie przesiąka przez nią, jak woda nie przesiąka przez pióra łabędzie. Do takich natur *imperméables* należy Ewa Adami.

Po nocach przy herbacie i fajce nieraz się rozprawiało z kolegami o ludziach należących do świata sztuki, począwszy od najwyższej kategorii, to jest od poetów, a skończywszy na najniższej, to jest na aktorach.

Istota, która ma wyobraźnię rozwiniętą więcej niż zwykły śmiertelnik, istota nad inne wrażliwa, zmysłowa, porywcza, istota, która w zakresie szczęścia i rozkoszy wie wszystko i pożąda z niesłychaną siłą – oto artysta.

Trzeba mu mieć trzykroć więcej charakteru i woli od innych dla odparcia pokus.

Tymczasem, jak nie ma powodu, dla którego by kwiat piękniejszy nad inne miał być tym samym odporniejszy na wicher, tak nie ma powodu, dla którego by artysta miał mieć więcej charakteru od zwykłego człowieka.

Przeciwnie, istnieje przyczyna, dla której zwykle miewa mniej, bo jego siła życiowa ginie w tej przepaści i w tej rozterce, które dzielą świat sztuki od świata codziennej rzeczywistości.

Jest to po prostu chory ptak, mający ciągłą gorączkę, która czasem niknie z oczu pod chmurami, czasem wlecze zmęczone skrzydła w pyle i kurzawie. Sztuka daje mu wstręt do pyłu i kurzawy, ale życie odbiera mu siłę wzlotu. Stąd często taki rozbrat między życiem zewnętrznym a wewnętrznym artystów.

Świat, gdy od nich wymaga więcej niż od innych i gdy ich potępia, może ma słuszość – ale i Chrystus będzie miał słuszość, gdy ich zbawi...

Ostrzyński utrzymuje wprawdzie, że aktorzy o tyle należą do świata artystycznego, o ile należą do niego puzony, klarnety, waltornie itp., ale to nieprawda.

Najlepszy dowód Ewa Adami, która jest na wskroś artystką i przez talent, i przez to poczucie artystyczne, co ją tak ustrzegło przed złem jak matka...

Pomimo całej przyjaźni, jaką mam dla Ewy, nie widziałem jej już dawno, więc obaczywszy mnie, ucieszyła się bardzo, chociaż miała jakąś dziwną minę, z której nie mogłem sobie zdać sprawy.

– Jak się masz, Władziu – powiada – przecież cię widzę!

Byłem kontent, żem ją zastał.

Miała na sobie szlafroczek turecki w czerwone palmy na śmietankowym tle, z szerokim *viel or* obszyciem i rozciętymi rękawami. Szczególniej obszycie pyszniej odbijało od jej bladej cery i fiołkowych oczu. Powiedziałem jej to; była bardzo rada, więc zaraz przystąpiłem do rzeczy.

– Moja złota divo! – mówię – ty znasz panią Kołczanowską, tę cudną Ukrainkę?

– Znam, to moja koleżanka.

– Zaprowadź mnie do niej...

Ewa poczyną trząść główką.

– Moja złota, moja dobra, jak mnie kochasz!

– Nie, Władziu! Nie zaprowadzę cię...

– Widzisz, jakaś niedobra, a ja raz mało nie zakochałem się w tobie!

Co za mimoza z tej Ewy!

Usłyszawszy to, mieni się, opiera łokcie na stole (cudo, nie łokcie), bierze w dłonie swoją bladą twarz i pyta:

– Kiedy to było?

Pilno mi mówić o Heli, ale że rzeczywiście małom się raz nie zakochał w Ewie i że obecnie chcę ją wprowadzić w dobry humor, więc zaczynam opowiadanie.

– Było tak... Poszliśmy kiedyś po teatrze do Botanicznego Ogrodu. Pamiętasz, jaka była noc cudna! Siedzieliśmy na ławce koło basenu – powiedziałaś, że chcesz słuchać słowika. Było mi czegoś smutno, zdjąłem kapelusz, bo mnie głowa bolała, a tyś poszła do basenu, umoczyłaś chustkę w wodzie i położyłaś mi ją wraz z ręką na czole. Wydałaś mi się wtedy po prostu tak dobrą jak anioł i pomyślałem sobie: jeśli wezmę tę rękę i położę na niej usta – to przepadło! to się w tobie zakocham na śmierć...

– I co? – pyta cicho Ewa.

– Nagle takeś się szybko odsunęła, jakbyś się czegoś domyślała.

Ewa siedzi czas jakiś w zadumie, po czym budzi się z niej i mówi z nerwowym pośpiechem:

– Nie mówmy o tym, proszę cię...

– Dobrze, nie mówmy o tym... Wiesz, Ewo, nadto cię lubię, żebym miał kiedykolwiek się w tobie zakochać. Jedno wyłącza drugie. Od czasu jakem cię poznał, mam dla ciebie istotne i szczerze przywiązanie.

– Ale! – mówi Ewa, jak gdyby idąc za szlakiem własnych myśli – czy prawda, żeś narzeczony?

– Prawda.

– Czemuś mi o tym nie powiedział?

– Bo to było zerwane i naprawiło się tak niedawno! Ale jeżeli zamierzasz mi powiedzieć, że jako narzeczony nie powinienem się poznawać z panią Helą, to ci z góry odpowiadam: pierwaj byłam malarzem niż narzeczonym. A przecież o nią się nie boisz.

– Tego sobie nie wyobrażaj. Nie wprowadzę cię do niej, bo nie chcę jej na języki ludzkie podawać. Mówią, że od kilku tygodni pół Warszawy się w tobie kocha; opowiadają niestworzone rzeczy o twoim powodzeniu. Nie dawniej jak wczoraj słyszałam dowcip, żeś z dziesięciu bożych przykazań zrobił sobie jedno – wiesz jakie?

– Jakie?

– „Nie będziesz pożądał żony bliźniego twego... nadaremno...”

– Ty, Boże, widzisz moją nędzę!... ale dowcip dobry.

– I zapewne trafny?

– Słuchaj, Ewuś; chcesz wiedzieć całą prawdę? Byłem zawsze nieśmiały, niezgrabny, nie miałem i nie mam powodzenia u kobiet. Ludzie sobie wyobrażają Bóg wie co, a tymczasem ani się domyślasz, ile było prawdy w tym wykrzykniku: Boże, Ty widzisz moją nędzę!

–*Povero maëstro!*

– Daj pokój włoszczyźnie... Wprowadzisz mnie do pani Kołczanowskiej?

– Mój Władziu, nie mogę... Im powszechniej uchodzisz za Donzuana, tym mniej wypada, żebym ja, aktorka, wprowadzała cię do kobiety samej i tak zwracającej oczy, jak Hela.

– To czemu ty mnie przyjmujesz?

– Co innego ja! Jestem aktorką i mogę zastosować do siebie słowa Szekspira: „Choćbyś była czystsza od łązy, bielszą od śniegu, nie ujdiesz potwarzy!”

– A wiesz, że można zmysły stracić. Więc każdy może ją znać, może u niej bywać, może na nią patrzeć, tylko ja nie! I dlaczego? Dlatego, że wymalowałem dobry obraz i zyskałem jakiś rozgłos.

– Ze swego stanowiska masz słuszność – mówi uśmiechając się Ewa. – Ani się domyślasz, że z góry wiedziała, po coś do mnie przyszedł. Był tu Ostrzyński i namawiał mnie, żebym cię „lepiej” nie wprowadzała do Heli.

– Ha, rozumiem!... i tyś mu przyrzekła?

– Nie przyrzekłam, nawet się rozgniewałam...

Myślę jednak, że „lepiej” cię nie wprowadzać. Mówmy teraz o twoim obrazie.

– Daj mi pokój z obrazem i z malarstwem! Ale kiedy tak, to dobrze! Otóż zapowiadam ci, że w ciągu trzech dni poznam się z panią Kołczanowską, choćbym miał w przebraniu pójść do niej.

– Przebierz się za ogrodnika i zanieś jej bukiet – od Ostrzyńskiego.

Ale mnie przychodzi w tej chwili zgoła inna myśl, która wydaje mi się tak pyszną, że uderzam się w czoło, zapominam o gniewie, o urazie, którą przed chwilą do Ewy czułem, i wołam:

– Daj słowo, że mnie nie zdradzisz!

– Daję! – mówi rozciekawiona Ewa.

– Dowiedz się więc, że przebiorę się za dida lirnika. Cały kostium i lirę mam, na Ukrainie bywałem, pieśni umiem śpiewać... Pani Kołczanowska jest Ukrainką, zatem przyjmie mnie z pewnością – rozumiesz teraz...

– Co za oryginalny pomysł! – mówi Ewa.

Ale nadto jest artystką, żeby ten pomysł nie miał jej się podobać; zresztą dała słowo, że mnie nie zdradzi – i nie ma nic do zarzucenia.

– Co za oryginalny pomysł! – powtarza. – Hela tak tę swoją Ukrainę kocha, że się chyba rozplacze, jak tu w Warszawie zobaczy lirnika... Ale co jej powiesz? Jak jej wytłumaczysz, skądś się wziął tu, nad Wisłą?

Mimo woli zapał mój udziela się Ewie.

Po jakimś czasie siadamy i zaczynamy w najlepsze spiskować...

Staje między nami układ, że ja się ucharakteryzuję, a Ewka przyjedzie po mnie i zabierze mnie do powozu, żebym zbyt nie ściągał na się ciekawości gapiów; pani

Hela nie ma wiedzieć o niczym, póki sama Ewka nie zdradzi z czasem tajemnicy.

Oboje z Ewą bawimy się naszym pomysłem doskonale, następnie ja zaczynam całować ją po rękach, następnie ona zatrzymuje mnie na śniadanie.

Wieczór spędzam u Susłowskich.

Kazia jest trochę chmurna, żem nie był rano, ale ja znoszę jak anioł jej humorek, przy czym myślę o jutrzejszej wyprawie i... o Heli.

ROZDZIAŁ XIII

Godzina jedenasta rano...

Ewy tylko coś nie widać.

Mam na sobie zgrzebną koszulę, otwartą na piersiach, switę nieco podszarpaną, ale porządną, pas, buty, wszystko co potrzeba.

Włosy siwej peruki spadają mi na oczy i mądry byłby, kto by poznał, że to jest peruka; moja broda jest arcydziełem cierpliwości. Od ósmej rano wklejałem za pomocą tęgiego karuku białe pasma między moje własne włosy – i zszedziwiałem tak, że i na starość nie zszedziwieję naturalnie... Rozcieńczona sepia dała mi smagłość, a zmarszczki wykonał Światecki po prostu genialnie. Wyglądam na lat siedemdziesiąt.

Świąteczki utrzymuje, że zamiast malować, mógłbym zarabiać na chleb jako model, co by było nawet z większą dla sztuki korzyścią.

Godzina wpół do dwunastej... Ewa zajeżdża.

Posyłam węzełek z mymi zwykłymi rzeczami do powozu, bo nie wiem, czy mi się nie wypadnie przebrać; następnie biorę lirę, schodzę i przy drzwiczkach wykrzykuję:

– Sława Bohu!

Adami jest zdumiona i zachwycona.

– Cudowny pasiecznik! Cudowny did! – powtarza śmiejąc się. – Tylko artyście może przyjść coś podobnego do głowy!

Mówiąc nawiasem, sama wygląda jak letni poranek. Ma na sobie sukienkę z surowego jedwabiu i słomiany kapelusz z makami. Nie mogę się jej odpatrzeć. Przyjechała w otwartym powozie, więc ludzie w tej chwili poczynają nas otaczać; ale co ona sobie z tego robi!

Nareszcie powóz rusza; serce zaczyna mi bić żywiej – za kwadrans zobaczę wymarzoną Helę...

Nie ujechaliśmy jeszcze stu kroków, gdy spostrzegłem z daleka idącego naprzeciw Ostrzyńskiego.

Ten musi się wszędy znaleźć!

Ujrzawszy nas staje, kłania się Ewusi, potem zaczyna przypatrywać się bystro nam obojgu, a w szczególności mnie. Nie przypuszczam, żeby mnie poznał, jednak minawszy go, oglądam się i widzę, że ciągle stoi i odprowadza nas wzrokiem. Dopiero na

zakręcie tracimy go z oczu. Powóz posuwa się dość szybko; pomimo tego wydaje mi się, że podróż trwa wieki. Na koniec w Alejach Belwederskich stajemy...

Jesteśmy przed domem Heli.

Lecę ku drzwiom, jakby się paliło.

Ewa biegnie za mną wołając:

– Co za nieznośny dziad!

Służący o postawie bardzo paradnej otwiera nam drzwi, a zarazem otwiera szeroko i oczy na mój widok; Ewa uspokaja jego zdziwienie mówiąc, że dziadek z nią przyjechał i wchodzimy na górę.

Panna służąca pojawia się na chwilę, oświadcza, że pani się ubiera w przyległym pokoju – i znika.

– Dzień dobry, Helu! – woła Ewa.

– Dzień dobry, Ewuś! – odpowiada cudowny, świeży głos. – Zaraz, zaraz! Za chwilę będę gotowa.

– Helu! Ani wiesz, co cię czeka i kogo tu zobaczysz... Przywiozłam dida, najprawdziwszego „dida-lirnika”, jaki kiedykolwiek chodził po stepach ukraińskich.

Radosny pisk rozlega się w przyległym pokoju, drzwi otwierają się nagle i wpada Hela, nieubrana, w gorsecie, z rozpuszczonymi włosami.

– Did! Ślepy did! Tu! W Warszawie!

– Nie ślepy! Widzi! – woła pośpiesznie Ewa, nie chcąc posuwać żartu za daleko.

Ale jest już za późno, bo w tej chwili rzucam się do nóg Heli z okrzykiem:

– *Cheruwymy bożij!*

I obejmuję rękoma jej stopy, a jednocześnie podnosząc oczy, spostrzegam nieco dalszy kształt tych nóżek. Narody, klękajcie! Ludy, przychodźcie z trybularzami. Milońska! zupełna Milońska!

– *Cheruwyme!* – powtarzam z niekłamanym uniesieniem.

Mój dziadowski zapał tłumaczy się zresztą tym, że po długiej *mandriwce* spotkałem pierwszą damę ukraińską. Mimo to Hela wysuwa stopy z moich rąk i cofa się... Przez mgnienie oka widzę jeszcze jej nagie ramiona i szyję, które przypominają mi Psyche z neapolitańskiego muzeum – po czym niknie za drzwiami, ja zaś zostaję, klęcząc na środku pokoju.

Ewuś jednocześnie grozi mi parasolką i śmieje się, chowając swój różowy nosek w bukiet rezedy.

Tymczasem przez drzwi zaczyna się rozmowa w najpiękniejszym dialekcie, jakim kiedykolwiek mówiono od ujścia Prypeci do Czertomeliku.

Przygotowałem się z góry na wszelkie możliwe pytania, więc kłamię jak z nut... Jestem „pasiecznik” spod Czehryna. Córka moja „pomandrowała” za Laszkiem do Warszawy, a ja stary *tużył taj tużył* na pasiece, póki sam za nią nie „pomandrował”. Dobrzy ludzie *hroszi* dawali za to, że im śpiewał... A teraz co? Ot, ujrzę *detynu myłeńkuj*, pobłogosławię, taj wrócę, bo i za Ukrainą matką tęskno. Tam mi zamrzeć między ulami. Każdy musi umrzeć, a staremu Fyłypowi czas od dawna...

Co to jest natura aktorska! Ewuś wie przecie, kto jestem, ale tak się przejmuje moją rolą, że poczyna

kiwać melancholicznie swoją śliczną główką i spoglądać na mnie ze współczuciem. Głos Heli z drugiego pokoju drga także wzruszeniem.

Drzwi rozchylają się nieco, białe cudowne ramię ukazuje się przez otwór i niespodzianie znajduję się w posiadaniu trzech rubli, które przyjmuję, bo nie mogę inaczej, a co więcej, zlewam w imieniu wszystkich świętych potok błogosławieństw na głowę Heli.

Przerywa mi służąca, która wchodzi z oznajmieniem, że pan Ostrzyński jest na dole i pyta, czy pani przyjmuje.

–Nie puszczaj go! Moja droga! – woła z przestraszeniem Ewa.

Hela oświadcza, że naturalnie nie przyjmuje. Wyraża nawet swoje zdziwienie z powodu tak ранnej wizyty. Ja, co prawda, również nie pojmuję, jak Ostrzyński, który chełpi się i słynie ze znajomości form, mógł przyjść o tej porze.

–Coś w tym jest! – mówi Ewa.

Ale nie ma czasu na dalsze objaśnienia, bo w tej chwili ukazuje się Hela, już ubrana, a jednocześnie dają znać, że śniadanie gotowe.

Obie panie przechodzą do sali jadalnej.

Hela chce mnie koniecznie posadzić u stołu, ale ja się upieram i siadam z moją lirą w progu. Po chwili otrzymuję półmisek tak obładowany jadłem, że po spożyciu tego wszystkiego sześcioro dziadów ukraińskich mogłoby dostać niestrawności. Jem jednak, bo jestem głodny i w czasie jedzenia przypatruję się Heli.

Istotnie, piękniejszej głowy nie ma w żadnej na świecie galerii! Jak żyję, nie widziałem tak przezroczystych oczu: po prostu widać przez nie wszystkie myśli, tak jak widać dno jasnego strumienia. Oczy te posiadają jeszcze tę własność, że się poczynają śmiać pierwiej niż usta, przez co twarz się rozjaśnia, jakby na nią padł promień słońca. Co za nieporównana słodycz w złożeniu ust!... Jest to głowa trochę w rodzaju Carla Dolce, chociaż rysunek oczu i brwi przypomina Sanzia w najszlachetniejszym typie.

Przestaję wreszcie jeść i patrzę, patrzę... patrzyłbym do śmierci.

– Nie byłaś wczoraj u mnie – mówi do Ewy Hela – myślałam, że po południu wpadniesz.

– Z rana miałam próbę, a po południu chciałam zobaczyć obraz Magórskiego.

– Widziałaś?

– Niedobrze, bo był tłok... a ty?

– Ja byłam z rana. Co za poeta! Chce się płakać razem z tymi Żydami.

Ewa spogląda na mnie, a mnie dusza rośnie.

– Pójdę jeszcze, ilekroć będę mogła – mówi znów Hela. – Wybierzemy się razem, dobrze? Może dziś jeszcze? Taką miałam przyjemność nie tylko patrzeć na ten obraz, ale pomyśleć, że to u nas znalazł się taki talent.

I nie uwielbiać tu tej kobiety!

Wtem słyszę dalej:

– Szkoda, że takie dziwne rzeczy opowiadają o tym Magórskim... Wyznaję ci, że umierała z ciekawości poznania go.

– Ach! – mówi niedbale Ewa.

– Ty go znasz? Prawda?

– Mogę cię zapewnić, że bardzo traci na bliższym poznaniu: zarozumiała, próżny, ach, jaki próżny!...

Mam taką ochotę pokazać Ewie język, że ledwie mogę wytrzymać, ona zaś zwraca ku mnie swoje szelmowskie fiołkowe oczy i mówi:

– Jakoś odechciało się wam jeść, dziadku?

Pokażę język – nie wytrzymam!

A ona znów do Heli:

– O tak! Magórskiego bardziej warto podziwiać niż się z nim poznawać. Ostrzyński określa go, że jest to geniusz w ciele „koafera”.

Ostrzyńskiemu oberwałbym uszy, gdyby coś podobnego powiedział: o Ewie wiedziałem, że ma lichy za kołnierzem, ale doprawdy przebiera miarę.

Na szczęście śniadanie kończy się.

Wychodzimy do ogrodu, w którym mam się popisywać z pieśniami.

Trochę mnie to jednak nuży i wolałbym być u Heli jako malarz niż jako did...

Ale trudna rada!

Siadam pod murem w cieniu kasztanów, przez których liście przenika słońce i tworzy na podłożu mnóstwo jasnych plam. Plamy te drgają, migocą, nikną i świecą znowu, w miarę jak powiew porusza liście. Ogród jest bardzo głęboki, więc turkot miejski nie

dochodzi prawie wcale, zwłaszcza że głośzy go szum ogrodowej fontanny. Upał jest wielki. Między gęstwiną liści słycać czyrykanie wróbla, ale słabe i jakby senne. Zresztą cisza.

Spostrzegam, że tworzy się zupełnie ładny obraz: ogród, głębia drzew, plamy słoneczne, fontanna, te dwie kobiety o twarzach niepospolicie pięknych, wsparte jedna na drugiej, i ja, did siedzący z lirą pod murem, wszystko to ma w sobie jakiś urok, który jako malarz odczuwam.

Zapominam poniekąd o swojej roli i zaczynam śpiewać z przejęciem:

*Każut lude, szczom szczastływa,
Ja z toho śmijusia,
Bo ne znajut, jak ja czasto
Słezami zaljusia!*

*Neszczastływa rodyłasia,
Neszczastływa zhynu,
Czom ty rodyła mene, maty,
W takuju hodynu!*

Ewa przejmuje się, bo jest artystką, Hela – bo jest Ukrainką, a ja – bo obie są tak piękne, że mnie ich widok upaja.

Hela słucha bez żadnej przesady, bez sztucznych uniesień, ale w jej przezroczytach oczach widzę, że słuchanie sprawia jej istotną i szczerą przyjemność.

Co za różnica od tych Ukrainek, które przyjeżdżają do Warszawy na karnawał i w czasie kontredansa piłują tancerzy swoją tęsknotą po Ukrainie, a naprawdę, jak powiada jeden z moich znajomych, hakami by się nie dała żadna wyciągnąć z Warszawy i karnawału na swoją Ukrainę!

Hela słucha, porusza w takt swą wytworną głową, czasem odzywa się do Ewki: „To znam” i śpiewa razem ze mną, ja zaś przechodzę sam siebie. Wyrzucam z pamięci i piersi cały zapas stepowego materiału, zacząwszy od hetmanów, łycariów i kozaków, a skończywszy na sokołach, Soniach, Marusiach, stepach, kurhanach i Bóg wie nie czym. Sam się dziwię, skąd mi się tyle tego nabrało.

Czas przeszedł jak sen.

Wróciłem zmęczony nieco, ale upojony...

ROZDZIAŁ XIV

W pracowni znajduję najniespodzianie państwa Susłowskich i Kazię.

Chcieli mi zrobić niespodziankę...

Po co ten Światecki powiedział im, że zapewne wkrótce wrócę?

Kazia ani Susłowscy nie poznali mnie... Dowód, jak byłem przebrany! Zbliżam się do Kazi i biorę ją za rękę: ona cofa się cokolwiek przestraszona.

– Kaziu, nie poznajesz mnie? – pytam.

I śmiech mnie porywa na widok jej zdumienia.

– Przecie to Władek! – mówi Światecki.

Kazia przypatruje mi się dokładniej, na koniec poczyną się śmiać, wołając:

– Fe! Co za brzydki dziad!

Ja jestem brzydki dziad! Ciekawym, gdzie widziała ładniejszego! Ale dla biednej Kazi, wychowanej w zasadach estetycznych papy Susłowskiego, zapewne każdy dziad jest brzydki.

Chronię się do naszej kuchenki i po kilkunastu minutach ukazuję się znów w swej naturalnej postaci.

Kazia i rodzice poczynają wypytywać, co znaczyła ta maskarada.

– Co znaczyła ta maskarada?... bardzo prosta rzecz... Oto, widzicie państwo, my malarze oddajemy sobie czasem koleżeńskie usługi i pozujemy jeden drugiemu do obrazów. Oto na przykład Światecki pozował mi na starego Żyda. Nie poznałaś go, Kaziu, w obrazie? Ja teraz pozuję Cepkowskiemu. Taki między malarzami zwyczaj, zwłaszcza że w Warszawie brak modeli.

– Przyszliśmy ci zrobić niespodziankę – mówi Kazia – przy tym, jak żyję, nie byłam w pracowni. Ach, co za nieporządek! Czy to tak u wszystkich malarzy?

– Mniej więcej, mniej więcej!

Pan Susłowski oświadcza, że wolałby znaleźć u mnie nieco więcej porządku i spodziewa się pod tym względem zmian w przyszłości. Mam ochotę rozbić mu

na głowie moją lirę. Kazia tymczasem uśmiecha się z kokieterią i mówi:

– Jest jeden pan malarz – wielkie nic dobrego! u którego będzie inaczej, niech tylko ja wezmę się do roboty... wszystko zostanie porządnie ułożone, ustawione, odkurzone...

Tak mówiąc, podnosi do góry swój zadarty nosek, patrzy na festony pajęczyny zdobiące kąty naszej pracowni – i dodaje:

– Bo to nawet i kupca może zrazić taki nieład... Przychodzi ktoś i od razu znajduje się jakby na tandecie. Ot, na przykład ta zbroja: strach, jaka zardzewiała! A tymczasem: zawołać służącej, kazać jej utłuc trochę cegły – i wszystko zacznie się świecić jak nowy samowar.

Jezus, Maria! Ona mówi o kupcach i chce czyścić cegłą moje kolczugi, wydobyte z mogił... Ach, Kaziu, Kaziu!

Susłowski, uszczęśliwiony, całuje ją w czoło, a Światecki wydaje jakieś złowrogie dźwięki, przypominające chrząkanie dzika.

Kazia grozi mi paluszką na nosie i mówi dalej:

– Proszę sobie zapamiętać, że wszystko się zmieni.

Potem zaś kończy:

– A jeśli pewien pan nie przyjdzie dziś do nas na wieczór, to będzie brzydki i nie będą go kochali.

To rzekłszy zakrywa oczy. Nie mogę powiedzieć, żeby nie było dużo wdzięku w tych jej minkach...

Przyrzekam, że przyjdę, i odprowadzam swoją przyszłą rodzinę aż na sam dół...

Wróciwszy zastaje Świateckiego patrzącego bokiem i z nieufnością na całą paczkę sturublówek leżącą na stole.

– Co to jest?

– Wiesz, co się stało?

– Nie wiem...

– Okradłem jakiegoś człowieka jak prosty złodziej.

– Jak to?

– Sprzedałem swoje „truposze”.

– I to są pieniądze?

– Tak... jestem podły lichwiarz.

Ściskam Świateckiego, winszuję mu z całego serca, on zaś poczyna opowiadać, jak się to stało.

– Siedzę po twoim odejściu, aż przychodzi jakiś pan i pyta się, czy to ja jestem Światecki. Ja powiadam: „Ciekawym, dlaczego bym nie miał być Świateckim!” Tak on powiada: „Widziałem pański obraz i chcę go kupić”. Ja mówię: „To dobrze, ale pozwól pan sobie powiedzieć, że trzeba być idiotą, żeby taki podły obraz kupować”. On znów na to: „Idiotą – mówi – nie jestem idiotą, ale mam fantazję kupować obrazy malowane przez idiotów”. – „Kiedy tak, to dobrze” – powiadam... Pyta mnie o cenę, ja mówię: „A mnie co do tego?” – „Daję panu tyle a tyle”. – „To dobrze! Kiedy pan daje, to niech pan daje!”. On dał i poszedł. Zostawił mi kartkę z nazwiskiem Białkowski, doktor medycyny... Jestem podły lichwiarz i basta!

– Niech żyją „truposze”! Światecki, ożeń się...

– Wolałbym się powiesić – mówi Światecki. – Podłym lichwiarz, nie więcej.

ROZDZIAŁ XV

Wieczorem jestem u Susłowskich.

Umieściliśmy się oboje z Kazią w saloniku w niszy, w której stoi kozetka.

Pani Susłowska siedzi przy stole oświetlonym lampą i szyje coś do wyprawy Kazinej, pan Susłowski czyta z godnością przy tymże stole wieczorny numer „Latawca”.

Jest mi jakoś nieswojo – pragnę rozproszyć to usposobienie, przysuwając się bardzo blisko do Kazi.

W saloniku panuje cisza; przerywa ją tylko szept Kazi, którą próbuję objąć, a która odpowiada mi:

– Władziu, papo zobaczy.

Wtem „papo” zabiera głos i poczyną czytać:

– Obraz znanego artysty Świateckiego, pod tytułem *Ostatnie spotkanie*, został nabyty w dniu dzisiejszym przez doktora Białkowskiego za rubli sr. 1500”.

– A tak – powiadam. – Światecki sprzedał go dziś rano.

Przy tym staram się znów objąć Kazię i znów słyszę jej szept:

– Papo zobaczy...

Mimo woli oczy moje zwracają się ku panu Susłowskiemu.

Nagle widzę, że twarz mu się mieni; przysłania oczy ręką i pochyla się nad „Latawcem”.

Co u licha on mógł tam takiego znaleźć?

– Ojczy, co ci jest? – pyta pani Susłowska.

On wstaje, postępuje dwa kroki ku nam, po czym zatrzymuje się, przeszywa mnie wzrokiem i załamując ręce, poczyną kiwać głową.

– Co panu jest?

– Oto jak fałsz i zbrodnia wychodzą zawsze na wierzch! – odpowiada patetycznie Susłowski – mój panie, czytaj, jeśli wstyd pozwoli ci doczytać do końca!

To rzekłszy, czyni ruch, jakoby się obwijał w togę i podaje mi „Latawca”. Biorę numer i wzrok mój pada na wiadomość zatytułowaną: „Lirnik ukraiński”. Mieszam się nieco i poczynam pośpiesznie czytać, co następuje:

„Przed kilkoma dniami zawitał do naszego grodu rzadki gość w osobie zgrzybiałego lirnika, który obchodzi zamieszkałe u nas rodziny ukraińskie, prosząc o jałmużnę, a dając w zamian pieśni. Powiadają, że starym bardem zajęła się szczególnie nasza znana i sympatyczna artystka E. A., z którą nie dawniej jak dziś rano widziano go w powozie. W pierwszych dniach pojawienia się dalekiego gościa powstała dziwna wieść, że pod siermięgą lirnika ukrywa się jeden z najznakomitszych naszych malarzy, który w ten sposób, nie zwracając uwagi mężów i opiekunów, znajduje łatwy przystęp do buduarów. Jesteśmy pewni, że wieść ta nie ma żadnej podstawy, choćby dla tego samego, że nasza diva nie zgodziłaby się przecie na ułatwianie tego rodzaju przedsięwzięć. Starzec według naszych informacji przywędrował wprost z Ukrainy. Ma on inteligencję nieco przyćmioną, ale pamięć doskonałą...”

Piekło!

Susłowski jest tak oburzony, że nie może głosu wydobyć, w końcu jednak wyrzuca z siebie zbytek oburzenia.

– Jaki nowy fałsz, jaki wybieg znajdziesz pan na usprawiedliwienie swego postępowania? Czy nie pana widzieliśmy dziś w tym haniebnym przebraniu? Kto jest tym dziadem?

– Ja jestem tym dziadem – odpowiadam – ale nie rozumiem, dlaczego pan znajdujesz to przebranie haniebnym.

W tej chwili Kazia wyrywa mi z ręki „Latawca” i poczyną go czytać, Susłowski zaś obwija się jeszcze szczelniej w togę oburzenia i mówi dalej:

– Wiec zaledwieś pan przestąpił próg uczciwego domu, już wnosisz z sobą zepsucie, więc nie będąc jeszcze mężem tego nieszczęśliwego dziecka, już zdradzasz je w spółce kobiet lekkiej treści, już depcesz jego i nasze zaufanie, już łamiesz poprzysiężone słowo... I dla kogo? Dla teatralnej hetery?!

Tu porywa mnie ostatnia złość...

– Mój panie! – mówię – dość tych komunałów. Ta hetera jest więcej wartą od dziesięciu takich fałszywych Katonów jak pan... Pan nie jesteś jeszcze niczym dla mnie i wiedz o tym, że mnie nudzisz! Mam pana dosyć razem z pańskim patosem, razem z pańskim...

Tu braknie mi słów, a zresztą nie potrzebuję ich więcej, gdyż Susłowski otwiera nagle kamizelkę, jakby chciał mówić:

– Uderzaj! Nie oszczędzaj – oto pierś moja...

Ale ja ani myślę uderzać, oświadczam tylko, że idę sobie z obawy, abym jeszcze czegoś więcej panu Susłowskiemu nie powiedział.

I rzeczywiście wychodzę, nie żegnając się z nikim...
Świeży powiew chłodzi moją rozpaloną głowę.
Jest godzina dziewiąta wieczór i noc bardzo pogodna.

Potrzebuję się przejść, żeby ochłonać do reszty, więc lecę w Aleje Belwederskie.

Okna w willi Heli są ciemne. Widocznie nie ma jej w domu. Sam nie wiem, dlaczego sprawia mi to ogromną przykrość...

Żeby zobaczyć choć cień jej na szybie, byłbym się uspokoił, a tak porywa mnie na nowo złość...

Co ja z tym Ostrzyńskim zrobię przy pierwszym spotkaniu – nie wiem...

Szczęściem nie jest to człowiek, który by się cofał przed odpowiedzialnością.

Tylko, właściwie mówiąc, o co ja się do niego przyczepię? Artykuł napisany jest z piekielną złością. Wszakże Ostrzyński zaprzecza, żeby dziadem miał być przebrany malarz, staje niby w obronie Ewy, a jednocześnie zdradza całą tajemnicę przed Helą, widocznie stara się skompromitować Ewę w opinii Heli, na mnie wywiera zemstę za Kazię i w dodatku okrywa mnie śmiesznością.

Żeby choć nie był napisał, że mam inteligencję przyćmioną! Stało się... W oczach Heli jestem okryty śmiesznością. Ona czytuje przecież „Latawca”.

Aj! Co za bigos i co za przykrość dla Ewy! Jak ten Ostrzyński musi tryumfować! Trzeba koniecznie coś przedsięwziąć, ale jeśli wiem co, to niech zostanę reporterem „Latawca”.

Przychodzi mi na myśl, żeby naradzić się z Ewą. Ona dziś gra... Polecę do teatru i zobaczę się z nią po końcu sztuki.

Jeszcze czas...

W pół godziny później jestem w jej garderobie.

Ewa zaraz skończy; tymczasem rozglądam się wkoło.

Teatry nasze nie odznaczają się, jak wiadomo, przepychem urządzeń. Komora o bielonych ścianach, dwa płomyki gazu chwiejące się od przeciągu, lustro, umywalnia, kilka krzeseł, w jednym kącie szezlong stanowiący prawdopodobnie prywatną własność divy – oto jej garderoba... Przed lustrem mnóstwo przyborów toaletowych, filizanka niedopitej czarnej kawy, puszki z różem i bielidłem, ołówki do brwi, kilka par rękawiczek zachowujących jeszcze kształt ręki, wśród nich dwa sztuczne warkocze; na bocznej ścianie pęk sukien białych, różowych, ciemnych, lekkich i ciężkich; na ziemi stoją dwa kosze pełne kobiecych przyborów. Izba wypełniona zapachem oryzy i pudru. Co za pstrokaczna wszędzie! Jak tu wszystko rozrzucone z pośpiechem! Ile kolorów, ile odbłyśków, ile cienia, ile gry światła z powodu chwiejności gazowych płomieni.

Jest to swego rodzaju obraz, jest w tym charakter... Ostatecznie nie ma tu przecie nic więcej jak w zwykłej gotowalni kobiecej, a jednak istnieje coś, co sprawia, że

ta izba nie czyni wrażenia gotowalni, ale jakiegoś przybytku, jest jakiś urok, czar... Nad tym nieładem, pstrokacizną, pośpiechem, wśród tych odrapanych ścian unosi się tchnienie sztuki.

Słysząc grzmot oklasków. Ha! skończyło się... Przez ściany dochodzą mych uszu wrzaski: „Adami! Adami!” Upływa kwadrans, a tam jeszcze krzyczą.

Na koniec wpada Ewa w postaci „Teodory”...

Ma koronę na głowie, podczernione oczy, na policzkach rumieńce z różu. Rozpuszczone jej włosy spadają jak burza na obnażoną szyję i ramiona. Jest zgorączkowaną i wyczerpaną do tego stopnia, że mówi do mnie ledwie dosłyszalnym szeptem: „Jak się masz, Władziu!” – i zdjawszy pośpiesznie koronę, rzuca się w swojej królewskiej sukni na szezlong. Widocznie słowa nie może przemówić, bo patrzy na mnie w milczeniu jak zmęczony ptak... Siadam koło niej, kładę rękę na jej głowie i nie myślę o niczym więcej prócz niej...

Widzę w tych podczernionych oczach nie zgasły jeszcze płomień uniesienia, widzę w tym czole po prostu stygmat sztuki, widzę, jak ta dziewczyna przynosi na ołtarz tego teatralnego molocha zdrowie, krew, życie, jak oto tchnienia brak w tej chwili w jej piersiach, i obejmuje mnie taka litość, taki żal, takie współczucie, że nie wiem, co mam ze sobą zrobić...

Siedzimy tak czas jakiś w milczeniu; wreszcie Ewa ukazuje ręką numer „Latawca” leżący na toalecie i szepce:

– Jaka przykrość, jaka przykrość!...

Nagle wybucha nerwowym płaczem i poczyną się trząść jak liść...

Wiem dobrze, że płacze ze zmęczenia, nie z powodu „Latawca”, że ten artykuł jest błahostką, o której wszyscy jutro zapomną, że cały Ostrzyński nie wart jest jednej łzy Ewy, a jednak serce ściska mi się tym więcej. Chwytam jej dłonie i okrywam je pocałunkami, tulę je, przyciskam do piersi. Serce poczyną mi bić coraz gwałtowniej, dzieje się ze mną coś dziwnego. Klękam, sam nie wiedząc, co czynię, u kolan Ewy, obłok przesłania mi oczy, nagle porywam ją bez pamięci w ramiona.

– Władziu, Władziu, zlituj się! – szepce Ewa.

Lecz ja cisnę ją do wzburzonych piersi; nie wiem już o niczym, oszalałem! Całuję ją po czole, oczach, ustach i umiem tylko wypowiedzieć jedno słowo:

– Kocham cię, kocham!

Wtem główka Ewy przechyliła się w tył, ręce jej oplatają gorączkowo moją szyję i słyszę szept:

– Ja cię od dawna kocham!...

ROZDZIAŁ XVI

Jeśli jest dla mnie droższe w świecie stworzenie od Ewy, to jestem marynowanym śledziem...

Mówią, że my artyści czynimy wszystko pod pierwszym wrażeniem chwili, tymczasem nieprawda!

Bo pokazuje się, że ja od dawna kochałem Ewę, tylko byłem zarazem takim osłem, że o tym nie wiedział.

Bóg jeden wie, co się ze mną działo, gdy ją odprowadzałem po tym wieczorze do domu. Szliśmy pod rękę, nie mówiąc do siebie nic... Ja tylko przyciskałem ciągle do boku ramię Ewy, a ona moje. Czułem, że mnie kocha ze wszystkich sił...

Odprowadziłem ją jeszcze na górę i gdyśmy się znaleźli w jej saloniku, stało nam się tak jakoś kłopotliwie, żeśmy nie śmieli sobie w oczy spojrzeć. Dopiero gdy Ewa zakryła twarz rękoma, oderwałem je z lekka i powiadam: „Ewuś, tyś moja? prawda?” A ona przytuliła się do mnie:

– Tak! tak!...

Taka była śliczna, takie miała oczy senne a zarazem błyszczące, taką jakąś słodką ociążałość w całej postawie, że ja się nie mogłem od niej oderwać.

Co prawda to i ona nie mogła się ode mnie oderwać, jakby chciała sobie wynagrodzić długie milczenie i tak długo tajone uczucie.

Wróciłem do domu późno. Świąteczki jeszcze nie spał... Rysował pod lampą na drzewie dla jednej z ilustracji.

– Jest tu list dla ciebie – powiada nie podnosząc oczu od roboty.

Biorę ze stołu list i czuję przez kopertę pierścionek. Dobrze! Przyda mi się na jutro. Otwieram list i czytam, co następuje:

„Wiem, że zwrot pierścionka zrobi panu przyjemność, bo widocznie do tego zmierzałeś. Co do mnie, nie myślę już rywalizować z aktorkami. K.”

Przynajmniej krótko!

Z tego listu przegląda tylko gniew, nic więcej.

Jeśli jakiś cień uroku otaczał jeszcze Kazię w moich oczach, cień ten rozwiewa się bezpowrotnie.

Dziwna rzecz: wszyscy przypuszczają, że Ewa była przyczyną mego przebrania się i tych wszystkich zajść – i naprawdę przyczyną tego, co nastąpi, będzie Ewa.

Gniotę list, chowam do kieszeni i idę spać...

Światecki podnosi oczy od roboty i patrzy na mnie w oczekiwaniu, czy czegoś nie powiem, ale ja milczę.

– Był tu wieczorem po teatrze ten podły Ostrzyński – mówi mi Światecki.

ROZDZIAŁ XVII

Nazajutrz już o dziesiątej rano chcę lecieć do Ewy, ale nie ma sposobu, bo mam gości.

Przychodzi baron Kartoffler i zamawia duplikat moich Żydów. Daje mi tysiąc pięćset rubli, ja chcę dwa tysiące. Na tym staje.

Po jego odejściu otrzymuję zamówienie na dwa portrety od Tanzenberga. Światecki, który jest antysemitą, wymyśla mi od żydowskich malarzy, ale ciekawym, kto u nas kupuje dzieła sztuki, jeśli nie

„finanse”? Jeżeli zaś „finanse” boją się „truposzów” Świąteczkiego, to nie moja wina.

Jestem u Ewy dopiero o godzinie pierwszej, oddaję jej pierścionek i zapowiadam, że po ślubie wyjeżdżamy do Rzymu.

Ewuś zgadza się z radością i – o ileśmy wczoraj oboje milczeli, o tyle dziś gadamy jedno przez drugie...

Opowiadam jej o zamówieniach, jakie dostałem, i cieszymy się wspólnie. Portrety muszę skończyć przed wyjazdem, a Żydów dla Kartoflera będę malował w Rzymie. Potem wrócimy do Warszawy, urzędę pracownię i będziemy żyli jak w niebie...

Tworząc te projekty zapowiadam Ewie, że przez całe życie będziemy obchodzili jako święto datę dnia wczorajszego...

Ale ona chowa mi główkę na ramieniu i prosi, żebym o tym nie mówił. Następnie obwija mi szyję rozciętymi rękawami szlafrocza i nazywa mnie swoim wielkim człowiekiem... Jest bledsza niż zwykle, oczy ma więcej fiołkowe niż zwykle, ale promienieje od radości.

Ach! Jakież ja byłem osioł, że mając przy sobie taką kobietę, szukałem szczęścia gdzie indziej, w sferze, w której byłem zupełnie obcy i która dla mnie była obcą...

Co za natura artystyczna tej Ewki! Jest moją narzeczoną, więc przejmuje się zaraz tą rolą i mimo woli trochę gra rolę młodej i szczęśliwej narzeczonej. Ale nie biorę tego za złe kochanemu stworzeniu, które tyle lat było w teatrze.

Po obiedzie jedziemy do Heli Kołczanowskiej.

Z chwilą jak Ewa może mnie przedstawić jako swego narzeczonego, figiel z dziadem staje się niewinny i nie może wywołać nieporozumień między tymi paniami. Jakoż Hela dowiedziawszy się o tym, przyjmuje nas z otwartymi rękoma i jest uszczęśliwiona szczęściem Ewy. Śmiejemy się jak trójka wariatów z „dida”, z tego, co „did” musiał wysłuchać o malarzu Magórskim. Wczoraj chciałem zasztyletować Ostrzyńskiego, dziś podziwiam jego spryt...

Hela śmieje się tak, aż jej przezroczyście oczy łzami zachodzą. Mówiąc nawiasem, jest precudna. Kiedy w końcu wizyty przechyla główkę, nie mogę od niej oczu oderwać i sama Ewka jest pod urokiem do tego stopnia, że potem w ciągu dnia bezwiednie naśladuje to przechylenie głowy i to spojrzenie...

Umawiamy się, że po powrocie z zagranicy będę malował portret Heli, ale przedtem w Rzymie zrobię moją Ewkę, jeśli tylko potrafię oddać te rysy tak delikatne, że aż prawie przerafinowane, i tę twarz tak wrażliwą, że każde wzruszenie odbija się w niej jak chmurka w jasnej wodzie...

Ale potrafię!... Dlaczego bym nie miał potrafić?

Wieczorny „Latawiec” ogłasza niestworzone historie o zamówieniach, jakie dostałem.

Dochody moje są obliczane na tysiące.

Może to jest trochę przyczyną, że nazajutrz dostaję list od Kazi opiewający, że odesłała mi pierścionek pod wpływem gniewu i zazdrości, ale byłem przyszedł i byleśmy padli do nóg rodzicom, rodzice dadzą się jeszcze przebłagać.

Mam dosyć tego padania do nóg i tych przebaczeń! Nie odpowiadam wcale. Niech im pada do nóg, kto chce, a Kazia niech idzie za Ostrzyńskiego: ja mam swoją Ewę!

Jednakże milczenie moje rzuca widocznie popłoch wśród rodziny Susłowskich, bo w kilka dni później przychodzi tenże sam posłaniec z listem Kazi, ale tym razem do Świateckiego.

Światecki pokazuje mi list... Kazia prosi go, żeby przyszedł na chwilkę rozmowy w sprawie, od której cała jej przyszłość zależy, liczy więc na jego serce, na prawość, którą od pierwszego rzutu oka w nim odgadła i ma nadzieję, że nie odmówi prośbie nieszczęśliwej kobiety. Światecki przeklina, mruczy coś pod nosem o podłych filistrach, o konieczności wywieszania tychże wraz z potomstwem przy najbliższej okazji, ale idzie...

Domyślam się, że chcą przez niego wpłynąć na mnie...

ROZDZIAŁ XVIII

Światecki, który w gruncie rzeczy ma miękkie serce, został widocznie zawojowany.

Przez tydzień z rzędu chodził do Susłowskich, zaś od trzech dni obchodzi mnie wkoło, spoglądając na mnie spode łba, zupełnie jak wilk...

Na koniec pewnego dnia przy herbacie pyta mnie opryskliwie:

- Słuchaj, co ty zamyślasz zrobić z tą dziewczyną?
- Z jaką dziewczyną?
- Z tą Susłowską czy jak tam?
- Nic nie myślę zrobić z tą Susłowską czy jak tam...

Następuje chwila milczenia, potem Światecki znów mówi:

– Ona tam po całych dniach beczy, aż patrzeć nie mogę... Co to za pocziwa dusza!

W tej chwili i jego głos drga wzruszeniem, ale chrząka jak nosorożec i dodaje:

– Porządny człowiek tak nie postępuje.
– Światecki, zaczynasz mi przypominać papę Susłowskiego!

– Być może... wolę przypominać papę Susłowskiego niż skrzywdzić jego córkę.

- Proszę cię, odczep się ode mnie.
- Dobrze! mogę cię nawet wcale nie znać.

Na tym kończy się rozmowa i od tej chwili nie gadam ze Świateckim.

Udajemy, że się nie znamy, co jest tym zabawniejsze, że mieszkamy ciągle razem, pijamy rano herbatę razem i żadnemu z nas nie przychodzi na myśl wyprowadzić się z pracowni.

Termin mojego ślubu z Ewą zbliża się...

Za pośrednictwem „Latawca” cała Warszawa wie już o tym... Wszyscy na nas patrzą, wszyscy podziwiają Ewę. Gdyśmy byli na wystawie, otoczono nas tak, żeśmy się nie mogli precisnąć.

Moja nieznana przyjaciółka przysłała mi znów anonim, w którym ostrzega mnie, że Ewa nie jest to żona dla takiego człowieka jak ja...

„Nie wierzę temu, co powiadają o stosunkach panny Adami z panem Ostrzyńskim – pisze moja przyjaciółka – ale ty, mistrzu, potrzebujesz żony, która by się całkowicie poświęciła dla twojej sławy i wielkości, a panna Adami jest sama artystką i będzie zawsze ciągnęła wodę na swój młyn...”

Światecki chodzi ciągle do Susłowskich, ale już chyba jako pocieszyciel, bo przecie i Susłowscy muszą wiedzieć o moich zamiarach.

Dostałem dla Ewy nieograniczony urlop od dyrekcji. Ewa zaczyna się czesać jak wiejska panienka, ubiera się bardzo skromnie i nosi suknie zapięte pod samą szyję. Nader jej z tym do twarzy. Scena w garderobie nie powtórzyła się ani razu! Ewuś nie pozwala! Co najwięcej, mam prawo całować ją po rękach. Niecierpliwi mnie to ogromnie, a pochlebiam sobie, że i ją...

Kocha mnie bez pamięci. Całe dni spędzamy razem. Zacząłem jej dawać lekcje rysunku.

Przepada za tymi lekcjami i za malarstwem w ogóle!

ROZDZIAŁ XIX

Zeusie gromowładny, na co ty patrzysz ze szczytu Olimpu!

Dzieją się rzeczy, o których nie śniło się filozofom.

W wigilię mego ślubu przychodzi do mnie Światecki, trąca mnie łokciem i odwracając w bok swoją rozczochraną głowę, mówi ponuro:

– Władek, wiesz?... popełniam zbrodnię.

– Przecie, żeś przemówił! – odpowiadam – co za zbrodnię?

Światecki patrzy ciągle w ziemię i mówi jakby do siebie:

– Bo żeby taki pijak jak ja, taki idiota bez talentu, taki bankrut moralny i fizyczny, zenił się z taką dziewczyną jak Kazia, to jest po prostu zbrodnia!

Uszom nie wierzę, ale rzucam się na szyję Świateckiemu, nie zważając na to, że mnie odpycha.

Ślub jego za parę dni...

ROZDZIAŁ XX

Po kilkumiesięcznym pobycie w Rzymie otrzymujemy z Ewą wspaniałą kartę zapraszającą nas na ślub Ostrzyńskiego z panią Heleną Turno *primo voto* Kołczanowską.

Nie możemy jechać, bo zdrowie Ewy nie pozwala.

Ewa maluje ciągle i robi ogromne postępy. Ja dostałem medal w Peszcie. Jakiś bogacz chorwacki kupił mój obraz. Zawarłem także stosunki z Goupilem.

ROZDZIAŁ XXI

W Weronie rodzi mi się syn.
Sama Ewa powiada, że takiego dziecka nigdy nie widziała.
Nadzwyczajny!...

ROZDZIAŁ XXII

Od kilku miesięcy jesteśmy w Warszawie.
Urządziłem wspaniałą pracownię.
Odwiedzamy dość często Ostrzyńskich.
On sprzedał „Latawca” i jest obecnie „prezesem Towarzystwa Rozdawania Kaszy Jęczmiennej Między Robotników Pozbawionych Zajęcia”. Nic nie może dać pojęcia o jego wspaniałości i uznaniu, jakim jest otoczony. Mnie klepie po ramieniu i mówi do mnie: „No, łaskawco!” Opiekuje się także talentami literackimi i przyjmuje we środy.
Ona śliczna zawsze jak sen...
Dzieci nie mają.

ROZDZIAŁ XXIII

Ratunku! Bo umrę ze śmiechu...

Przyjechali z Paryża Świąteccy. Ona pozuje na żonę artysty ze złotej bohemii; on nosi jedwabne koszule, grzywkę i brodę w klin... – Wszystko rozumiem! Rozumiem, że mogła sobie poradzić z jego zwyczajami, charakterem, ale jak sobie poradziła z jego czupryną, to pozostanie dla mnie wieczną zagadką.

Świątecki nie przestał robić „truposzów”, ale maluje także obrazy rodzajowo-sielskie. Ma dużo powodzenia. Robi także i portrety, te jednak mniej mu się udają, bo karnacją przypominają zawsze „truposze”...

Pytałem go po starej przyjaźni, czy jest szczęśliwy z żoną. Powiedział mi, że nigdy nie marzył o podobnym szczęściu. Wyznaję, że Kazia zawiodła w znaczeniu dodatnim moje oczekiwania.

I ja byłbym zupełnie szczęśliwy, gdyby nie to, że Ewa zaczyna mi niedomagać i przy tym bardzo bywa biedaczka rozdrażniona. Słyszałem raz w nocy, jak płakała. Wiem, co to jest! Tęskni za teatrem. Milczy, ale tęskni...

Zacząłem portret pani Ostrzyńskiej. Po prostu nieporównana kobieta! Wzgląd na Ostrzyńskiego nie powstrzymałby mnie przecie... I gdyby nie to, że ja dotychczas ogromnie Ewę kocham, to nie wiem...

Ale ja ogromnie Ewę kocham – ogromnie!

Henryk Sienkiewicz
Ta trzecia

Redakcja: *Anna Oldak, Hanna Milewska*

Projekt okładki:
STUDIO OŻYWIANIA KSIĄŻKI KARTALIA

Copyright © for the e-book edition
by FUNDACJA FESTINALENTE 2013

Warszawa 2013

ISBN 978-83-7904-353-8

Fundacja Festina Lente
ul. Nowoursynowska 160B/7
02-776 Warszawa



FUNDACJA
FESTINALENTE

www.festina-lente.org.pl



www.chmuraczytania.pl



www.eLib.pl